

Bohumil Hrabal

Postrzyżyny

Przekład Andrzej Czibor-Piotrowski

Pani Bovary to ja.

(Gustave Flaubert)

Lubię te kilka minut przed siódmą wieczorem, kiedy szmatkami i zmiętą „Polityką Narodową” czyszczę szkła lamp, zapalką usuwam czerni opalonych knotów, nakładam z powrotem mosiężne kołpaczki i dokładnie o siódmej nadchodzi ta cudowna chwila, kiedy przestają pracować maszyny w browarze i dynamo tłoczące prąd wszędzie, gdzie świecą się żarówki, dynamo to zaczyna zmniejszać obroty i w miarę jak prąd słabnie, słabnie również światło żarówek, z białego światła staje się z wolna światło różowe, a ze światła różowego światło szare, sączone przez krepę lub też organdyne, aż wolframowe włókienka pokazują pod sufitem czerwone rachityczne paluszki, czerwony klucz wiolinowy. Wtedy zapalam knot; wkładam szkło, wysuwam żółty jęczyzek, nakładam mleczny klosz ozdobiony porcelanowymi różami. Lubię te kilka minut przed siódmą wieczorem, patrzę przez tych kilka chwil z upodobaniem w górę, kiedy światło wycieka z żarówki jak krew z poderżniętego koguta, patrzę z upodobaniem na ten blednący podpis prądu elektrycznego i wzdrygam się na myśl, że może nadejść chwila, kiedy do browaru zostanie doprowadzony prąd miejski i wszystkie lampy w browarze, od latarń w stajniach, lamp z okrągłymi lusterkami, wszystkich tych pękatych lamp o okrągłych knotach, że wszystkie te lampy któregoś dnia się nie zapalą, nikomu nie będzie zależeć na ich blasku, bo cały ten ceremoniał zostanie zastąpiony kontaktem podobnym do kurka wodociągowego, który zastąpił urodziwe pompy. Lubię te swoje płonące lampy, w których światło noszę na stół talerze i sztucce, w których światło otwierają się gazety albo książki, lubię oświetlone blaskiem lamp ręce leżące od niechcenia na obrusie, odcięte ludzkie ręce; ze spłotu ich linii można wyczytać charakter człowieka, do którego te ręce należą; lubię owe przenośne lampki naftowe, z którymi wychodzę wieczorami naprzeciw gościom i oświetlam im twarze i drogę, lubię lampy, w których światło robię szydełkiem franki i pogrążam się w głębokich marzeniach, lampy, które zgaszone gwałtownym dmuchnięciem wydają dławiący śwąd, wypełniający ciemny pokój niczym wyrzut. Ach, gdybym tak znalazła w sobie dość siły i kiedy do browaru doprowadzą prąd, żebym przynajmniej raz w tygodniu któregoś wieczoru zapaliła lampy i przysłuchiwała się melodyjnemu syczeniu żółtego światła, które rzuca głębokie cienie i skłania do ostrożnego stąpania i do marzeń.

Francin zapalał w biurze dwie pękate lampy o okrągłych knotach, dwie lampy gderające nieustannie jak dwie przekupki, dwie lampy, które stały na krańcach ogromnego stołu, lampy, które tchnęły ciepłem niczym piecyki, lampy, które z ogromnym apetytem pochłaniały łakomie naftę. Zielone klosze tych pękatych lamp odcinały niemal jak pod linijkę przestrzeń światła i cienia, tak że kiedy patrzyłam przez okno do biura, Francin był zawsze rozcięty na Francina polanego witriolem i Francina, którego pochłonał mrok. Mosiężne maszynki, w których knot porusza się przesuwany poziomą śrubą w dół albo

w górę, te mosiężne koszyczki miały ogromny ciąg; te lampy Francina potrzebowały tyle tlenu, że wysysały wokół siebie powietrze, tak że kiedy Francin położył w pobliżu lampy papierosa, mosiężne sito wciągało wstęgi błękitnego dymu i dym z papierosa, dostawszy się do magicznego kręgu

pękających lamp, zostawał nieubłagany wchłonięty i pożarty w szkło przez płomień, który nad kółkami świecił zielonkawo jak światło, jakie wydziela spróchniały pień, światło jak błędny ogień, jak ogień świętego Eliasza, jak Duch Święty, który zstąpił pod postacią fioletowego płomyczka unoszącego się nad tłustym żółtym światłem okrągłego knota. I w blasku tych lamp Francin zapisywał w otwartych księgach browarnianych roczną produkcję piwa, wydatki i dochody, sporządzał sprawozdania tygodniowe i miesięczne, aby pod koniec każdego roku zrobić bilans za cały rok kalendarzowy, i karty tych ksiąg lśniły jak nakrochmalone gorsy. Kiedy Francin obracał kartę, te dwie pucułowane lampy gorszyły się każdym ruchem, tak że groziły zgaśnięciem, rozgdały się te dwie lampy, jakby to były wyrwane ze snu dwa ogromne ptaki, zupełnie jakby te dwie lampy poruszały gniewnie długimi szypkami, rozrzuciły po suficie oddychające nieustannie chińskie cienie przedpotopowych zwierząt, na suficie w tych półcieniach widziałam zawsze wachlujące się uszy słoni, unoszone oddechem klatki piersiowe kościotrupów, dwie wielkie ómy wbite na pal światła wyrastający ze szkła wprost ku sufitowi, gdzie lśniło nad każdą lampą okrągłe oślepiające lustro, oświetlony ostro srebrny pieniądz, który nieustannie, niemal niedostrzegalnie, ale jednak poruszał się

wyrażając nastrój każdej lampy. Obróciwszy kartę, Francin wpisywał znowu imiona i nazwiska szynkarzy i restauratorów. Brał wówczas stalówkę redis numer trzy i tak jak w starych mszałach i ważnych aktach i dokumentach każde słowo rozpoczynał inicjałem, wszystkie te inicjały pełne były rozwichrzonych pukielków i wzdymających się linii, kiedy siedziałam w biurze i patrzyłam z mroku na jego ręce, które lampy biurowe opryskiwały gaszonym wapnem, zawsze odnosiłam wrażenie, że inicjały te Francin wzoruje na moich włosach, że są mu one natchnieniem, wpatrywał się zawsze w moje włosy, z których tryskało światło, w lustrze widziałam, że gdzie ja byłam wieczorem, tam zawsze dzięki mojej fryzurze i gatunkowi moich włosów było o jedną lampę więcej, Francin tą stalówką redis wpisywał zwykle litery początkowe, po czym brał cienkie piórka i zgodnie z impulsem maczał je na przemian w atramentach: zielonym, niebieskim i czerwonym, i wokół inicjałów zaczynał rysować moje niesforne włosy, i tak jak krzak róży, który obrasta altankę, tak samo Francin gęstą siecią i gałązkami krzywych linii moich włosów ozdobił początkowe litery imion i nazwisk szynkarzy oraz restauratorów.

Kiedy później zmęczony wracał z biura i stał w drzwiach w cieniu, białe mankiety wskazywały, jak cały miniony dzień go wyczerpał, mankiety te dotykały niemal jego kolan, w ciągu całego dnia Francin brał na swoje barki tyle trosk i ciężarów, że wieczorem zawsze był o dziesięć centymetrów niższy, a może i o więcej. A ja wiedziałam, że największą jego troską jestem ja, że od czasu kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy, że od tego czasu nosi mnie na plecach w niewidzialnym, a jednak bardzo konkretnym tornistrze, w tornistrze, który z dnia na dzień staje się coraz cięższy. Tak więc co wieczór staliśmy pod opuszczaną płonąca lampą, zielony klosz był tak ogromny, że mieściliśmy się pod nim oboje, był to żyrandol niczym parasol, pod którym staliśmy w ulewie syczącego światła lampy naftowej, obejmowałam Francina jedną ręką, a drugą ręką głaskałam go z tyłu po głowie, on miał oczy zamknięte i oddychał głęboko; kiedy uspokoił się, obejmował mnie w pasie i wyglądało to tak, jakbyśmy chcieli rozpocząć jakiś taniec towarzyski, jednakże to było coś więcej, to była oczyszczająca kąpiel, podczas której Francin szeptał mi do ucha wszystko, co mu się w ciągu tego dnia przytrafiło, a ja głaskałam go i każdy ruch mojej ręki wyglądał jego zmarszczki, a potem on dotykał moich rozpuszczonych włosów; za każdym razem ścigałam ten porcelanowy żyrandol niżej, na obwodzie żyrandola wisiały gęsto różnokolorowe szklane rurki połączone paciorkami, chrzęściły te wisioriki koło naszych uszu jak cekiny i ozdóbki wokół bioder tureckiej tancerki, wydawało mi się niekiedy, że ta ogromna opuszczana lampa jest szklanym kapeluszem wciśniętym nam obojgu aż po uszy, kapeluszem obwieszonym mnóstwem przystrzyżonych sopli...

Ostatnią zmarszczkę spędziłam z twarzy Francina gdzieś we włosy albo za uszy, a on otworzył oczy, wyprostował się, mankiety miał znowu na wysokości bioder, spojrzał na mnie nieufnie, a kiedy uśmiechnęłam się i przytaknęłam, on także się uśmiechnął, po czym spuścił oczy i usiadł za stołem, ośmielił się i patrzył na mnie, a ja na niego i widziałam, że mam nad nim wielką władzę, moje oczy urzekają go jak oczy pytona, kiedy wpatruje się w przerażoną ziębę.

Dziś wieczorem na ciemnym podwórku zarżał koń, potem dobiegło jeszcze jedno rżenie, a następnie rozległ się tętent kopyt, brzęczenie łańcuchów i podzwanianie sprzączek, Francin podniósł się i nasłuchiwał, wzięłam lampę i wyszłam na korytarz, i otworzyłam drzwi. W mroku na dworze furman browarniany wołał: Hola, Ede, Karę, hola, do diabła! - ale gdzie tam, od strony stajni pędziły belgijskie wałachy z latarnią na przedpiersiu; kiedy tak wracały zmęczone, wyprzęgnięte z

wozu, w chomątach, z lejcami zawieszonymi na ozdobnych guzach tych chomąt i w całej uprzęży po całodziennym rozwożeniu piwa, kiedy każdy sądził: te wykastrowane ogiery nie myślą o niczym innym, tylko o sianie i wiaderku młótu, i odrobince owsa, a więc te dwa wałachy cztery razy do roku ni stąd, ni zowąd przypominały sobie o swoich źrebiących latach, o swojej genialnej młodości, pełnej nie rozwiniętych jeszcze, ale mimo wszystko już gruczołów, i buntowały się, podnosiły niewielki rokosz, dawały sobie znak w zapadającym zmierzchu, kiedy wracały do stajni, a teraz spłoszyły się, spłoszyły, tak mówią ludzie, że te byłe ogiery spłoszyły się, ale one się nie spłoszyły, one nie zapomniały, że jeszcze ciągle i do ostatniej chwili można iść nawet zwierzęcą drogą wolności... przelatywały teraz obok służbowych mieszkań betonowym chodnikiem, kopyta ich krzeszały iskry i lampa na piersiach naręcznego wałacha trzęsa się wściekle i podrygiwała oświetlając powiewające sprzączki i urwane lejce, wychyliłam się i w delikatnym blasku lampy naftowej przemknęła ta belgijska para, spasione ogromne wałachy, Ede i Karę, które ważyły razem dwadzieścia pięć cetnarów, wprawionych teraz w ruch, i ruch ten groził nieustannie upadkiem, a upadek jednego konia oznaczał upadek drugiego, połączone bowiem były ze sobą pierścieniami i skórzanymi lejcami, i sprzączkami, jednakże jakby w tym galopie nieustannie się ze sobą porozumiewały, ploszyły się oba jednocześnie, zmieniając się na prowadzeniu nie więcej niż o kilka centymetrów... za nimi zaś biegł nieszcześnie furman z batem, furman drżący z przerażenia, bo gdyby jeden z koni złamał nogę, kierownictwo browaru potraçałoby mu za to przez kilka lat... a strata obu koni oznaczała jedno: płacić do końca życia... — Hola, Ede i Karę! Hola, do diabła! — jednakże zaprzęg pędził już naprzeciw wie-trzalni koło słodowni, teraz kopyta ich zmiękły w błotnistej drodze obok komina i stodół, tak że i wałachy musiały zwolnić, po czym koło stajni, na kocich łbach, znów nabrały szybkości, a na betonowym chodniku, z którego każda ciągnąca się po ziemi sprzączka, każdy łańcuszek, każda podkowa krzeszała iskry, tutaj te dwa belgi rozpedziły się, tak że to nie był już bieg, ale powstrzymywany upadek, z nozdrzy buchały im kłęby pary, oczy miały wytrzeszczone i pełne przerażenia, na zakręcie koło biura oba pośliznęły się na tym betonowym chodniku jak w filmowej grotesce, ale oba jechały na tylnych podkowach, które krzeszały iskry, furman zamarł ze zgrozy. Francin podbiegi do drzwi, ale ja stałam oparta o futrynę i modliłam się, aby tym koniom nic się nie stało, bardzo dobrze wiedziałam, że ich sprawa jest także moją sprawą, lecz

Ede i Karę już znowu biegły obok siebie i zgodnie kłusowały naprzeciw wietrzalni koło słodowni, podkowy ich cichły w miękkim błocie drogi koło stodół, i znów dały sobie znak, i runęły przed siebie po raz trzeci, furman odskoczył i kiedy jeden z koni napiął wodze, lampa poleciała łukiem i rozbiła się o pralnię, i ten trzask dodał belgom nowych sił, zarząły najpierw jeden po drugim, potem obydwa jednocześnie pogalopowały po betonowym chodniku... patrzyłam na Francina, tak jakbym to była ja, ja, która przemieniłam się w parę belgijskich koni, to był ten mój buntowniczy charakter, raz na miesiąc poszaleć, mnie także ogarniało co kwartał pragnienie wolności, mnie, która wcale nie byłam wykastrowana, ale wprost przeciwnie: zdrowa, niekiedy aż nadto zdrowa... i Francin patrzył na mnie, i wiedział, że ten spłoszony belgijski zaprzęg, te jasne powiewające grzywy i potężne ogony ciągnące się w powietrzu za kasztanowatymi ciałami, że to ja — nie ja, ale ten mój charakter, te moje lejące pośród ciemnej nocy spłoszone złote włosy, te moje powiewające swobodnie kędziory... i odepchnął mnie, i teraz Francin stał z wyciągniętymi rękoma w tunelu światła płynącego z korytarza, z wyciągniętymi ramionami ruszył naprzeciw koniom wołając: — Idudududu! Hola! — i belgijskie wykastrowane ogiery zahamowały krzesząc kopytami iskry, Francin odskoczył i wziął naręcznego za uzdę, ściągnął ją, wbił w spieniony pysk zwierzęcia, i ruch koni ucichł, sprzączki i lejce, i szory uprzęży opadły na ziemię, przybiegł furman i wziął siodłowego konia za uzdę... — Panie kierowniku... — wymamrotał woźnica.

— Wytrzeć słomą i oprowadzić po podwórzu... Ta para ma wartość czterdziestu tysięcy, rozumie pan, panie Marcinie? — powiedział Francin i wszedł w drzwi domu, tak jak wchodził ułani, u których za Austrii służył, gdybym nie odskoczyła, powaliłby mnie, przeszedłby po mnie... z mroku słychać było później uderzenie bata i bolesne rzenie belgijskich koni, przekleństwa i odgłos uderzeń biczyskiem, a potem podskakiwanie koni w mroku i trzaskanie długiego bicza, który owijał się belgom wokół nóg i przecinał skórę. - ,

Jednakże mój portret to również cztery prosięta, browarniane prosięta, karmione młotem i ziemniakami, a w lecie, kiedy dojrzewały buraki, chodziłam po nać buraczaną, nać tę siekałam, polewalam zaczynem i starym piwem i prosięta spały dwadzieścia godzin na dobę i codziennie przybywało im na wadze po całym kilogramie, te moje prosiątka słyszały mnie, jak idę doić kozy, i

już kwiczały z radości, bo nie wiedziały, że jedną parę sprzedam na szynki, a druga para pójdzie pod nóż podczas domowego świniobicia. Kiedy szłam doić kozy, to prosięta kwiczały z zachwytu, bo wiedziały, że wszystko mleko, jakie nadoję, wleję im natychmiast do koryta. Pan Cicwa-rek tylko popatrzył na prosięta i od razu mówił, ile te prosięta ważą, i zawsze się zgadzało, potem tę parę prosiąt brał na ręce i wrzucał do takiego półkoszka, rzeźnie -kiej bryczki, zaciągał nad nimi siatkę i powiadał:

— Bronią się te stworzonka jak moja stara, kiedym jej za młodych lat chciał skraść pierwszego całusa.

— Papapaa, moje prosiaczki, będą z was piękne szy-neczki — mówiłam prosiątkom na pożegnanie.

Jednakże prosięta nie marzyły o takiej sławie, wiedziałam o tym, ale każdy z nas musi kiedyś umrzeć, a natura jest miłosierna, kiedy już nic nie można zrobić, wszystko, co żyje i co ma za chwilę umrzeć, wszystko ogarnia przerażenie, jakby zwierzętom i ludziom spaliły się bezpieczniki, a potem już nic nie czują i nic ich nie boli, ten strach przykręca knoty lamp, tak że życie już tylko ledwie migoce i ze zgrozy o niczym nie wie. Do rzeźników nie miałam szczęścia, ten pierwszy dodał mi do kiszek wątrobianych tyle imbiru, że mi z nich zrobił cukierki, ten drugi znowuż pił od rana tyle, że jak uniósł pałkę, aby ogłuszyć prosię, to sam sobie przetrącił nogę, stałam z przygotowanym nożem, niewiele brakowało, a ze złości zarzęnąłabym tego rzeźnika, którego zresztą musiałam jeszcze zawieźć bryczką do szpitala i szukać innego. Trzeci rzeźnik z kolei przyniósł swój wynalazek, zamiast parzenia wymyślił opalenie szczeciny lampą spawalniczą, nie zupełnie powinnam była wylać do ustępu, ale tego rzeźnika, ponieważ nie tylko szczecina pozostała, ale przede wszystkim prosię cuchnęło benzyną, tak że zupełnie musieliśmy wylać do kanału, bo nawet pozostałe przy życiu prosię nie chciało jej jeść.

Pan Myclik to był rzeźnik, rzeźnik w sam raz na mój gust! Kazał sobie podać tartą marmurkową babkę i białą kawę, a rumu napił się dopiero wówczas, kiedy wątrobianki były już w kotle, rzeźnik, który przyniósł ze sobą

wszystkie swoje przybory owinięte w ściereczki, przyniósł też trzy fartuchy, jeden miał na sobie podczas bicia, parzenia i patroszenia, drugi wkładał, kiedy wysypywał na stół podroby, a trzeci dopiero wówczas, kiedy prawie wszystko było gotowe. Pan Myclik nauczył mnie także, abym kupiła sobie jeden specjalny kocioł i tego kotła używała jedynie do gotowania wątrobianek i krwawych kiszek, i salcesonów, i podrobów, i do topienia sadła, bo co się w nim gotuje, tym garnek nasiąka, a świniobicie, łaskawa pani, to to samo, jak kiedy ksiądz odprawia mszę świętą, bo zawsze idzie o krew i o mięso, czyli ciało.

Potem piekliśmy ciasto do bulczanek i krwawych kiszek, przywieźliśmy balię i do późnej nocy gotowałam kaszę i na talerze ponasypywałam odpowiednią ilość soli i pieprzu, i imbiru, i majeranku, i tymianku, prosiątko nie dostało już w południe jeść i zaczynało czuć zapach rzeź-nickiego fartucha, pozostałe zwierzęta także były smutne i ciche, już teraz drżały jak liście osiki, inne drzewa stoją spokojnie, burza jest gdzieś w Karpatach albo w Alpach, ale liście osiki drżą i dygocą jak moje prosię, które jutro zostanie zabite.

Prosię wyprowadzałam z chlewika zawsze ja. Nie lubiłam, gdy podwiązywało się prosiątku ryj sznurem, po co sprawiać mu ból, i kiedy wyprowadzałam rzeźnikowi prosię podstępem, drapałam je w ryjek, potem w czoło, potem w grzbiet; pan Myclik podszedł z tyłu z siekierą, uniósł ją w górę i potężnym ciosem powalił prosię, po czym na wszelki wypadek dorzucił jeszcze dwa, trzy mokre ciosy w roztrzaskaną czaszkę prosięcia, podałam panu Myclikowi nóż, a on ukląkł i wbił ostrze w szyję, i chwilę szukał czubkiem noża tętnicy, potem wytrysnęła struga krwi, a ja podstawiłam garnek, następnie zaś jeszcze wielki rondel, ilekroć zmieniałam naczynie, pan Myclik za każdym razem uprzejmie powstrzymywał dłonią płynącą krew, aby ją znowu puścić, a wtedy już warzą-chwią bełtałam krew, aby nie krzepła, potem także drugą ręką, obiema rękami jednocześnie mieszałam śliczną dymiącą krew, pan Myclik z pomocnikiem, panem Marcinem, furmanem, włożyli prosię do balii i lali na nie wrzącą wodę z dzbanów, a ja musiałam zakasać rękawy i rozcapierzonymi palcami mieszać stygnącą krew, zakrzepłe krwawe strzępy rzucałam kurom, obie ręce miałam aż po łokcie zanurzone w stygnącej krwi, ręce mi słabły, poruszałam nimi, jakbym wraz z prosięciem wydawała ostatnie tchnienie, ostatnie kłęby zakrzepłej krwi, a potem krew rzedła, stygła; wyciągnęłam ręce z garnków i rondli, a tymczasem oparzone, ogolone prosię wjechało z wolna na haku pod belkę otwartej drewnitni.

Odcięta głowa prosięcia wraz z ryjkiem leżała na stole, dwie łopatki właśnie przyniosłam. I już biegłam przez podwórze z włosami spiętymi pod chusteczką, aby nie stracić ani chwili, bo pan Myclik wyciągnął kiszki i kazał pomocnikowi, by poszedł obrócić je i umyć, a sam — niczym ślepy Hanusz w wieżowym zegarze — grzebał na pamięć we wnętrznościach prosięcia, coś tu i ówdzie po-nacinał i śledziona, wątroba oraz żołądek oderwały się, a po nich również płuca i serce. Nastawiłam ceber i spłynęły tam wszystkie te piękne podroby, ta symfonia soczystych barw i kształtów, nic mnie nie wprawiało w taki zachwyt jak jasnoczerwone wieprzowe płuca, wzdęte cudownie jak gąbczasta guma, nic nie jest tak namiętne w kolorze jak ciemnobrązowa barwa wątroby przyozdobiona szmaragdem żółci, niczym chmury przed burzą, niczym delikatne baranki — tak właśnie ciągnie się wzdłuż kiszek grudkowate sadło, żółte jak topiąca się świeca, jak pszczeli воск. A ta krtań zbudowana z niebieskich i ja-snoczerwonych pierścieni jak rura kolorowego odkurzacza. A kiedy wysypaliśmy te cuda na płytę stołu, pan Myclik wziął nóż, naostrzył o osetkę, po czym zaczął obcinać: tu kawałeczek jeszcze ciepłego mięska, tam kawałeczek wątroby, ówdzie całą nerczkę i pół śledziona, a ja nastawiłam wielki garnek z przysmażoną cebulką i wsunęłam te kawałeczki prosięcia do piekarnika, osoliwszy je przedtem starannie i przyprawiwszy pieprzem, tak aby gulasz był gotów na południe.

Nabierałam sitem gotowane podroby wieprzowe, golonkę, przepołowioną głowę, wysypywałam na stół jeden kawałek mięsa za drugim, pan Myclik wybierał kości, a kiedy mięso trochę przestygło, brałam w palce kawałeczek ryjka i kawałeczek ogonka, zamiast chleba przegryzałam to prosięcym uchem, potem do kuchni wpadał Francin, nigdy nie jadł, nie mógł tego wziąć do ust, stał więc przy piecu i przegryzał suchy chleb popijając kawą i patrzył na mnie, i wstydził się zamiast mnie, a ja jadłam z apetytem i piłam piwo wprost z litrowej butelki, pan Myclik uśmiechał się; aby mnie nie urazić, wziął kawałek mięsa, po namyśle jednak odłożył je i napił się białej kawy przegryzając marmurkową babką, po czym sięgnął po maszynkę do krojenia mięsa i podkasał rękawy, wskutek energicznych ruchów kawałki mięsa zaczęły tracić swój kształt i funkcję i cięte półksiężycami ruchomych noży mięso przemieniało się z wolna w nadzienie, i pan Myclik nadstawiał dłoń, a ja wkładałam mu w nią sparzone przyprawy, pan Myclik był jedynym rzeźnikiem, dla którego musiałam przyprawy zalewać wrzącą wodą, bo — jak powiadał, a ja rozumiałam to bardzo konkretnie — sprzyja to dokładniejszemu rozproszeniu i wzmacnia natężenie oraz intensywność zapachów, a potem dodał rozmoczonej bułki i wszystko raz jeszcze przemieszał i mocnymi dłońmi i palcami wymiesił i wyrobił, po czym zgarnął nadzienie z obu dłoni, nabrał trochę, spróbował, patrzył w sufit i był w tej chwili piękny jak poeta, wpatrywał się w sufit z zachwytem i powtarzał sobie: pieprz, sól, imbir, tymianek, bułka, czosnek, a kiedy odmówił ten rzeźnicki akt strzelisty i poczęstował mnie, wzięłam na palec i włożyłam do ust, i smakowałam, patrzyłam także w sufit i z oczyma pełnymi wieprzowego zachwytem rozpościerałam i smakowałam na języku pawia ogon wszystkich tych zapachów, a potem skinęłam głową, że jako gospodyni apróbuję bukiet smakowy i nic już nie stoi na przeszkodzie, aby zacząć robić kiszki wątrobiane. I pan Myclik brał pocięte, na jednym końcu spięte drewnianą szpilką jelitka, dwoma palcami prawej ręki rozszerzał otwór, a drugą ręką tylko naciskał i z garści wyrastała mu piękna wątrobianeczka, którą brałam od niego i spinałam drewnikiem, i tak pracowaliśmy, a w miarę jak ubywało nadzienia, rósł w połączonych naczyniach jelit stos kiszek wątrobianych.

— Panie Marcinie, gdzie się pan znów podziewa? — wołał raz po raz pan Myclik, bo furman pan Marcin za każdym razem, chyba przez całe swoje życie, jak tylko miał troszkę czasu, stał w drewnutni, w komórce, za wozem, w korytarzu, wyciągał okrągłe lusterko i wpatrywał się w nie, tak bardzo się sobie podobał, że zawsze to, co widział w okrągłym lusterku, wstrząsało nim, całymi godzinami potrafił stać w chlewiku, zapominał pójść do domu, bo wyrывał sobie pęsetką włoski z nosa, wyskubywał kłaczki z brwi, a nawet farbował nie tylko włosy, ale przy-czerniał rzęsy i pudrował twarz. Mówiłam sobie, że przy następnym prosięciu będzie mi musiał Francin przystać z browaru kogo innego do pomocy. — Panie Marcinie, gdzież pan, na miłość boską, znowu był? Proszę kroić to sadło, będziemy robić kaszanki i bułczanki, gdzie pan się podziewał?

Pan Myclik napełniał kaszaneczki, wypił już drugi kieliszek rumu i ni stąd, ni zowąd włożył rękę w krwawe nadzienie i zrobił mi palcem krwawą smugę na policzku. I zaczął się cichutko śmiać, oczko błysnęło mu jak pierścionek, sięgnęłam do krwawego garnka, a kiedy chciałam przeciągnąć ręką po policzku rzeźnika, uchylił się, ja zaś trafiłam dłonią w białą ścianę, nim jednak zdążyłam ją pobrudzić, pan Myclik zdołał zrobić mi drugą smugę, nie przestając przy tym spinać jelit drewnianymi szpilkami. Znowu włożyłam rękę w krew i rzuciłam się za nim biegiem, pan Myclik

uchylił się kilka razy, jakby wykonywał figury sabaudzkiego tańca, potem jednak udało mi się umazać mu twarz i dalej spinałam kaszaneczki, i śmiałam się, ilekroć popatrzyłam na rzeźnika, który śmiał się zdrowym głośnym śmiechem, nie był to tylko taki sobie śmiech, ale śmiech sięgający niejako w pogańskie czasy, kiedy ludzie wierzyli w moc krwi i śliny, nie potrafiłam się powstrzymać, raz jeszcze sięgnęłam do ka-szankowej krwi, by raz jeszcze umazać mu twarz, ale on znowu się uchylił, trafiłam w próżnię, a on — rechocząc głośno — zrobił mi jeszcze jedną smugę, a przy tym spinał kaszaneczki nadal, pan Marcin przyniósł skrzynkę piwa z komory piwnej, a kiedy schylał się ostrożnie, przejechałam mu po policzku dłonią pełną krwawego nadzienia, a furman pan Marcin wyjął z kieszeni okrągłe lustro, spojrzął na siebie i chyba spodobał się sobie bardziej niż kiedykolwiek przedtem, zaśmiał się zdrowo i nabrał na trzy palce czerwonego nadzienia, rzuciłam się biegiem do pokoju, pan Marcin biegł za mną, zaczęłam krzyczeć zapominając, że za ścianą odbywa się posiedzenie rady nadzorczej browaru, że słychać wyraźnie łoskot krzesel i wołanie, ale pan Marcin umazał mnie krwią i śmiał się, ta krew nas jakoś zbliżyła, śmiałam się i ja, siadłam na kanapie, trzymałam ręce przed sobą jak lalka, aby nie pobrudzić obić, pan Marcin tak samo wyciągał umazaną rękę, ale cała reszta jego ciała z wolna ulegała śmiechowi, zaczynała drgać, a gardło wybuchnęło radosnym, dławiącym i wywołującym ataki kaszlu rechotem, i przybiegł pan Myclik, i pełną dłonią przejechał po twarzy pana Marcina, ziarnka kaszy błyszcząły na niej jak perły, a pan Marcin przestał się śmiać, stał się poważny, wydawało się, że zamierza rzeźnika uderzyć, ale wyjął okrągłe kieszonkowe lustro, spojrzął w nie i wydał się sobie chyba tak piękny jak jeszcze nigdy w życiu, i roześmiał się, otworzył śluzę swojego gardła i ryczał ze śmiechu, pan Myclik zaś o tercję niżej zanosił się drobnym śmiechem, który przypominał jego ząbki pod czarnym wąsem, i tak ryczeliśmy ze śmiechu, i nie wiedzieliśmy dlaczego, wystarczyło spojrzenie i wybuchaliśmy śmiechem, od którego aż brzuch bolał. I nagle otworzyły się drzwi, i wbiegł Francin w długim czarnym dwurzędowym surducie, krawat w kształcie liścia kapusty włoskiej przyciskał do piersi, a kiedy zobaczył zakrwawione twarze i ten przeraźliwy śmiech, załamał ręce, ale ja nie wytrzymałam, wzięłam na trzy palce krwawego nadzienia i przejechałam Francino-wi po twarzy, aby go — nawet wbrew jego woli — rozśmieszyć, on jednak tak się przestraszył, że tak jak stał, wbiegł do sali konferencyjnej, dwaj członkowie prezydium zemdleli myśląc, że w browarze dokonano zbrodni, sam prezes doktor Gruntorad przybiegł tylnym wejściem do kuchni, rozejrzał się, a kiedy zobaczył ten wielki śmiech na zakrwawionych twarzach, odetchnął z ulgą, usiadł, a ja mając ręce całe w nadzieniu zrobiłam panu doktorowi czerwoną pręgę na twarzy i tylko na chwilę wszyscy ucichliśmy, patrząc zażawionymi oczyma na pana doktora Gruntorada, który wstał, zacisnął pięści i wysunął buldożą szczękę... lecz nagle roześmiał się, to była ta moc krwi, ta rzecz sakralna: żeby się coś złego nie stało, od niepamiętnych czasów zapobiegano temu mażąc się wieprzową krwią, pan doktor sięgnął po nadzienie i rzucił się za mną, śmiejąc się wbiegłam do pokoju, pan doktor minął się ze mną i oparł się ręką na zasłanym łóżku, wszedł do kuchni, nabrał pełną garść i wrócił, biegałam dookoła stołu, biały obrus pełen był odcisków moich dłoni, pan doktor co chwila zawadzał krwią o ten obrus, zabiegł mi drogę, a ja piszcząc wypadłam na korytarz, który łączy nasze mieszkanie z salą konferencyjną, sala była już oświetlona i wpadłam w sam środek obrad, złote zyrandole, a pod nimi długi stół przykryty zielonym sukniem, na którym leżały otwarte akta i sprawozdania. Pan prezes Gruntorad wbiegł za mną, wszyscy członkowie rady nadzorczej myśleli, że pan prezes chce mnie zabić, że już usiłował mnie zabić, Francin siedział na krześle i krwawą ręką tarł sobie czoło, a pan prezes w pogoni za mną obiegił kilka razy stół dookoła, pokrzykiwałam, pot lał się z nas obojga, aż w pewnej chwili pośliznęłam się i upadłam, a pan doktor Gruntorad, prezes miejskiego browaru z ograniczoną odpowiedzialnością, przejechał mi całą dłonią po twarzy i usiadł, mankiety mu wisały, a on zaczął się śmiać, śmiał się tak jak ja, śmialiśmy się, ale ten śmiech potęgował przerażenie członków prezydium, bo wszyscy myśleli, że zwariowaliśmy. — Jeśli się panowie nie obrażą, zapraszam wszystkich na świniobicie — powiedziałam. A pan doktor Gruntorad dodał:

— Panie kierowniku, niech pan zarządzi, aby z komory piwnej przyniesiono dziesięć skrzynek butelkowego piwa. Co tam dziesięć, dwadzieścia skrzynek!

— Chodźcie, panowie, bardzo proszę, ale gulasz na świniobicu trzeba jeść łyżeczką z głębokiego talerza pełnego aż po brzegi. Za chwilę podamy wątrobianki z chrzanem i kaszankę oraz bułczankę. Tędy proszę, panowie! — Ruchem krwawej ręki zapraszałam gości tylnym wejściem do mieszkania.

Potem, późno w nocy, członkowie rady nadzorczej zaczęli się swoimi bryczkami rozjeżdżać do domów, wyprowadzałam każdego z lampą w rękę, przed dom zajeżdżały bryczki, zapalone powozowe latarnie osadzone w błotnikach oświetlały matowo lśniące zady koni, wszyscy członkowie rady nadzorczej ściskali rękę Francina i klepali go po ramieniu. Tej nocy spałam w sypialni sama, przez otwarte okno płynęło chłodne powietrze, na deskach pomiędzy krzesłami lśniły wątrobianki i kaszanki, tuż obok łóżka na dylach stygły rozmontowane części prosięcia, rozparcelowane i pozbawione kości szynki, kotlety i pieczenie wieprzowe, łopatki i golonki, i nóżki, wszystko uporządkowane zgodnie z systemem pana Myclika. Kiedy położyłam się do łóżka, usłyszałam, jak Francin wstał i nalał sobie w kuchni letniej kawy, i przegryzał suchym chlebem; ucztą była wspaniała, wszyscy członkowie rady nadzorczej jedli, aż im się uszy trzęsły, tylko Francin stał w kuchni i pił letnią kawę, i przegryzał suchym chlebem, leżałam w łóżku i zanim zasnęłam, wyciągnęłam rękę i dotknęłam łopatki, potem obmacałam pieczeń i usypiałam z palcami na dziewiczej polędwicy, i śniło mi się, że zjadłam całe prosię, nad ranem, kiedy się obudziłam, poczułam takie pragnienie, że poszłam bosą po „butelkę piwa, zdjęłam kapsel i piłam łapczywie, potem zapaliłam lampę i trzymając ją w palcach chodziłam od jednego kawałka prosięcia do drugiego i nie wytrzymałam: zapaliłam prymus, odkroiłam z szynki dwa piękne kotlety bez odrobiny tłuszczu, stłukłam je, potem posoliłam, przyprawiłam pieprzem i smażyłam je na maśle przez osiem minut, przez cały ten czas, który wydawał mi się wiecznością, tykałam ślinkę, to lubiłam najbardziej: niemal całe obie szynki zjeść pod postacią kotletów skropionych cytryną, w końcu podlałam kotlety wodą, przykryłam pokrywką, spod której buchnęła gniewna para, i już wyłożyłam kotlety na talerz, i zaczęłam je żarłocznie jeść, pokapałam sobie nocną koszulę, tak jak zwykle plamię sobie sokiem czy sosem bluzeczkę, bo jak ja jem, to nie jem, ale pozeram... a kiedy zjadłam i wytarłam chlebem talerz, zobaczyłam, że przez otwarte drzwi wpatrują się we mnie z mroku oczy Francina, tylko te jego pełne wymówki oczy, że znowu jem, tak jak przyzwoita kobieta jeść nie powinna, całe szczęście, że się najadłam, ten wzrok odbierał mi zawsze apetyt, pochyliłam się nad lampą, ale przypomniałam sobie, że swąd knota wsiąkłby w mięso, wobec tego wyniosłam lampę na korytarz i zgasilałam ją mocnym dmuchnięciem. I weszłam do łóżka, i dotykając wieprzowej łopatki usypiałam, i cieszyłam się myślą, że kiedy rano się obudzę, usmażę sobie znowu dwa kotlety.

Bodzio Czerwonka zawsze poświęcał moim włosom wiele uwagi. Mówił: te włosy to dziedzictwo starych złotych czasów, takich włosów nigdy nie miałem pod swoim grzebieniem. Kiedy pan Bodzio rozczesał te moje włosy, to jakby zapalił w zakładzie dwie pochodnie, w lustrach i w miskach, i we flakonach płonął pożar moich włosów i musiałam przyznać, że pan Bodzio ma rację. Nigdy moje włosy nie wydawały mi się tak piękne jak w zakładzie pana Bodzia, kiedy wypłukał je w wywarze z rumianku, który sama przygotowałam i przywiozłam w bańce na mleko. Dopóki moje włosy były mokre, nic nie zapowiadało, co się zacznie z nimi dzieć, kiedy przeschną; ledwie zaczynały schnąć, to jakby w tych kosmykach urodziło się tysiące złotych pszczoł, tysiące świętojańskich robaczek, jakby zatrzeszczało tysiące bursztynowych kryształków. A kiedy pan Bodzio po raz pierwszy przeczesywał grzebieniem moją grzywę, trzeszczało w niej i tryskały iskrami te włosy, i pęczniały, i rosły, i kipiały, tak że pan Bodzio musiał przykłąknąć, jakby zgrzeblem cesał ogony dwóch stojących obok siebie ogierów. I w jego zakładzie jaśniało, cykliści zeskakiwali z rowerów i przykładali twarze do szyby wystawowej, aby przekonać się i zrozumieć, co przyciągnęło ich wzrok. A sam pan Bodzio trwał w chmurze moich włosów; aby mu nie przeszkadzano, zamykał zawsze swój zakład, co chwila wachał mnie, a kiedy kończył czesanie, wzdychał słodko i dopiero potem związywał włosy według swojego gustu, któremu ufałam, raz fioletową, to znów zieloną, a kiedy indziej czerwoną albo błękitną wstążką, jakbym stanowiła część liturgii katolickiej, jakby moje włosy stanowiły część świąt kościelnych. Potem otwierał zakład, przyprowadzał mój rower, wieszał bańkę na ramie i z galanterią pomagał mi usiąść na siodełku. A kiedy nacisnęłam już na pedały, pan Bodzio biegł kawałeczek ze mną i przytrzymywał mi włosy, aby nie wkręciły się w łańcuch albo w szprychy. Kiedy nabrałam już odpowiedniej szybkości, pan Bodzio rzucał w powietrze tren mojej fryzury, tak jak rzuca się w niebo latawiec albo jak spada gwiazda, i zdyszany wracał do zakładu. A ja jechałam i włosy powiewały za mną, słyszałam ich trzeszczenie, tak jak kiedy ściska się w dłoni sól albo mnie jedwab, tak jak kiedy deszcz oddala się po blaszanym dachu, tak jak kiedy smaży się wiedeńskie sznyce, tak właśnie powiewała ta pochodnia włosów; tak jak kiedy o zmierzchu w noc świętojańską chłopcy biegają z zapalonymi smolnymi witkami albo jak kiedy pali się czarownice, tak za mną snuł się dym moich włosów. I ludzie zatrzymywali się, a ja wcale się nie dziwiłam, że nie mogą oderwać oczu od tych powiewających włosów, które niczym

reklama jechały im naprzeciw. A mnie to sprawiało przyjemność, bo widziałam, że mnie widzą, pusta bańka po rumianku uderzała o kierownicę, a grzebień przepływającego powietrza szczytywał mi włosy do tyłu. Przejeżdżałam przez plac, wszystkie spojrzenia zbiegały się na mojej powiewającej fryzurze jak szprychy w kole roweru, na którym jechało naciskając na pedały moje poruszające się. Francin widział mnie tak powiewającą dwa razy i za każdym razem widok tych moich powiewających włosów tak zapierał mu dech, że nawet się do mnie nie odzywał, nie był zdolny zawołać na mnie, stał oszołomiony moim nieoczekiwanym pojawieniem się, opierał się o mur i musiał chwilę poczekać, nim znów udało mu się chwycić oddech, miałam wrażenie, że upadłby, gdybym się do niego odezwała, to była ta jego miłość, zakochanie, które przyciskało go do muru jak to osierocone dziecko Alesza w czytance szkolnej. A ja naciskałam pedały, kolana na przemian uderzały o bańkę, cykliści, którzy jechali naprzeciwko mnie, zatrzymywali się, niektórzy obracali rowery i pędzili za mną, wyprzedzali mnie, by obrócić rowery znów jechać mi naprzeciw, i pozdrawiali moją bluzeczkę i bańkę, i te moje powiewające włosy, i mnie całą, a ja życzliwie i ze zrozumieniem pozwalałam im na siebie patrzeć i żałowałam tylko, że nie jest mi dane tak jechać sobie naprzeciw, aby również nacieszyć się tym, z czego byłam dumna i czego nie musiałam się wstydić. Przemierzyłam raz jeszcze plac, a potem jechałam główną ulicą przed „Grandem”, stał tam orion, a obok oriona Francin i w palcach trzymał świecę, stał tam z tym swoim motocyklem i na pewno mnie widział, ale udawał, że mnie nie widzi, ten jego orion miał kłopoty z zapalaniem i w ogóle, tak że Francin woził w przyczepie nie tylko wszystkie klucze i lewarki, i śrubokręty, ale także małą obrabiarkę o nożnym napędzie. A obok Francina stali dwaj członkowie prezydium rady nadzorczej browaru z ograniczoną odpowiedzialnością, zanim postawiłam trzewiczek na bruku, sięgnęłam za siebie, przerzuciłam włosy do przodu i położyłam na kolanach. — Jak się masz, Francinie? — powiedziałam.

Francin przedmuchał świecę, a gdy usłyszał mój głos, świeca wypadła mu z rąk, na twarzy miał dwie smugi: musiał dotknąć jej dłońmi brudnymi od montowania.

— Całuję rączki... — Członkowie rady nadzorczej uklonili się szarmancko.

— Dzień dobry panom, ładną dziś mamy pogodę, nieprawdaż? — powiedziałam, a Francin zaczerwienił się aż po korzonki włosów. — Dokąd ci się, Francinie, potoczyła ta świeca? — spytałam.

I schyliłam się, Francin uklęknął i zaczął szukać świecy pod przyczepą, położyłam chusteczkę na bruku, uklęknęłam i włosy mi opadły, pan de Giorgi, mistrz kominiarski, ujął delikatnie moje włosy i przerzucił je sobie przez ramię tak jak kościelny ornat, Francin klęczał z wzrokiem utkwionym w błękitny cień pod przyczepą, a ja zdawałam sobie sprawę, że moja obecność wyprowadziła go z równowagi, tak że szuka tylko dlatego, aby dojść do siebie, podczas naszego ślubu zdarzyło się to samo, kiedy wkładał mi obrączkę, palce tak mu drżały, że obrączka wypadła z nich i gdzieś się potoczyła, tak że najpierw Francin, a potem goście weselni z początku pochyleni, a potem na czworakach jej szukali, nawet sam ksiądz na czworakach pełzał po kościele, aż w końcu ministrant znalazł tę obrączkę pod amboną, okrągłą obrączkę, która potoczyła się w przeciwnym kierunku, a nie tam, gdzie szukało jej na czworakach całe wesele. A ja się wtedy śmiałam, stałam i śmiałam się...

— Tam coś leży koło kanału — powiedział chłopiec toczący przed sobą obręcz po głównej ulicy i pobiegł dalej.

I rzeczywiście koło kanału leżała świeca, Francin ujął ją w palce, a kiedy chciał ją wkręcić w głowicę silnika, ręce tak mu drżały, że świeca szczykała w gwintach. I otworzyły się drzwi „Grandu”, i wyszedł pan Bernadek, mistrz kowalski, ten, co za jednym zamachem wypijał beczkę piłznerskiego, i przyniósł kufel piwa.

— Łaskawa pani, bez urazy, proszę się ode mnie napić!

— Pańskie zdrowie, mistrzu!

Zanurzyłam nos w pianie, uniosłam rękę jak do przysięgi i z przyjemnością piłam ten słodko-gorzki napój, a kiedy wypita do dna, otarłam wargi wskazującym palcem i powiedziałam:

— Piwo z naszego browaru jest równie dobre! Pan Bernadek uklonił mi się.

— Jednakże piwo piłznerskie, łaskawa pani, ma identyczny kolor jak pani włosy... Proszę mi pozwolić... — mistrz kowalski zaczął mamrotać — proszę mi pozwolić, abym na pani cześć wrócił do restauracji i nadal popijał te pani złote włosy...

Sklonił się raz jeszcze i oddalił się, studwudziestokilo-gramowa persona, a spodnie układały mu się z tyłu w ogromne fałdy, fałdy, jakie ma słoń.

— Przyjdiesz na obiad, Francinie? — spytałam.

Dokręcał świecę w głowicy silnika, udawał skupienie. Skinęłam głową panom członkom rady nadzorczej, nacisnęłam na pedały, odrzuciłam za siebie te swoje strugi pilzneńskiego piwa i nabierając szybkości wyjechałam wąską uliczką na most, i krajobraz nad balustradą otworzył się przede mną jak parasol. Zapachniało rzeką, a tam w głębi wznosił się beżowy browar ze słodownią, miejski browar spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

Na wieczku pudełka z ekspandorem widniał napis: „I ty będziesz miał tak piękne ciało, potężne mięskły i straszliwą siłę!”.

I Francin co ranka ćwiczył mięśnie, które miał zresztą tak wspaniałe jak ów gladiator na wieczku tego ekspandora, niemniej jednak Francin we własnych oczach wyglądał jak odarty ze skóry króliczek. Postawiłam na płycie kuchennej garnek z ziemniakami, wzięłam pudełko, na którym znajdowała się fotografia wspaniałego zawodnika, i przeczytałam na głos:

— „I ty będziesz miał siłę tygrysa, który jednym uderzeniem łapy zabija zwierzę znacznie większe od siebie...”

Francin spojrział na chodnik, ekspandor zwiądnął mu w palcach i Francin natychmiast padł na otomanę jak podcięty.

— Pepi — powiedział.

— A więc w końcu zobaczę twojego brata, w końcu usłyszę swojego szwagra, szwagierka...

Oparłam się o futrynę okna — a tam na chodniku stał człowiek w owalnym kapelusiku na głowie, w bryczesach w kratkę wsuniętych w zielone tyrolskie skarpety, marszczył nos, a na plecach miał wojskowy tornister.

— Stryciu Józefku — zawołałam stając na progu — proszę dalej!

— A kto pani jest? — spytał stryjaczek Pepi.

— No przecież pańska szwagierka! Pięknie witam!

— O psiakrew, to ci dopiero mam szczęście, że mi się trafiła taka fajna szwagierka... Ale gdzie Francin? — pytał stryj i pchał się do kuchni i do pokoju. — Aha, tutaj... Co się z tobą dzieje?

Leżysz? A więc, do licha, przyjechałem do was w odwiedziny... Nie zostanę tu dłużej niż dwa tygodnie... — mówił stryj i głos jego dudnił i łopotał w powietrzu niczym sztandar, niósł się niczym wojskowa komenda, a każde jego słowo elektryzowało Francina, tak że podrygiwał i okręcał się kocem.

— Wszyscy cię pozdrawiają, prócz Bochaleny, bo ta już zdążyła umrzeć, jakiś żartowniś napchał jej do polana prochu, a kiedy baba włożyła je do pieca, nastąpił wybuch i jak babę grzmotnęło po pysku, to tylko nóżki jej drgnęły i już było po niej...

— Bochalena? — załamalam ręce. — To była pańska siostra?

— Jaka tam siostra! To była chrestna, to była baba, która przez cały dzień żarła jabłka i ciasto i przez trzydzieści lat mówiła: „Dzieci, ja wkrótce zemrę, nic mi się nie chce robić, spałabym tylko i spała...”. I ja także czuję się nie najlepiej... — powiedział stryj i rozwiązał sznury tornistra, i wysypał na podłogę szewskie przybory, a Francin, usłyszawszy ten łoskot, zakrył sobie twarz rękoma i jęknął, jakby mu stryjaczek wsypywał te szewskie przybory do mózgu.

— Stryju Józefku — powiedziałam przysuwając brytfannę — proszę się poczęstować babeczką. Stryjaczek Pepi zjadł dwie babeczki i oświadczył:

— Jakież te babeczki kiepskie...

— No nie... — Padłam na kolana i załamalam ręce nad tymi kopytami i młoteczkami, i nożami, i innymi szewskimi narzędziami.

— Ostrożnie! — Stryj przestraszył się. — Niech mi pani tego tymi swoimi włosami nie pobrudzi! Aha, Francinie, ksiądz proboszcz Zborził tak nieszczęśliwie złamał sobie nogę w biodrze, że będzie kaleką aż do śmierci. Kum Zawiczak naprawiał dach na kościelnej wieży i osunęła się pod nim deska, i kum poleciał na dół, lecz uchwycił się wskazówki zegara i trzymał się obu rękami wskazówki tego czasomierza, tylko że wskazówka nie udźwignęła ciężaru, z kwadransa na dwunastą ta wskazówka opadła na wpół do dwunastej i kumowi, kiedy tak gwałtownie się osunął, ręce ześliznęły się z tej wskazówki i znów zaczął spadać na dół, ale tam rosła lipa i kum spadł w koronę jednej z tych lip, a ksiądz proboszcz Zborził patrząc na to załamalam ręce i widział, jak kum Zawiczak spada z konaru na konar, a w końcu upadł na plecy, i ksiądz proboszcz Zborził natychmiast pobiegł, aby mu złożyć gratulacje, ale nie zauważył stopnia i upadł, i złamał sobie nogę, wobec czego stary Zawiczak musiał księdza proboszcza Zborziła załadować na wóz, no i powieziono go do prościejowskiego szpitala.

Wzięłam drewniane kopytko na damski pantofelek i pogłaskałam je.

— Jakież to piękne rzeczy, prawda, Francinie? — powiedziałam, ale Francin jęknął, jakbym mu pokazała szczurę albo żabę.

— Ano piękne, i to jeszcze jak! — mówił stryj; wyciągnął cwikier, założył go na nos, a ten cwikier nie miał szkielec i Francin, zobaczywszy ten cwikier bez szkielec na nosie swojego brata, zaskomlił, niemal zapłakał, obrócił się do ściany i rzucał się tak, że sprężyny kanapy jęczały tak jak i Francin.

— A co słyhać u kuma na Jeziorach? — spytałam.

Stryjek z pogardą machnął ręką i ujawszy Francina za ramię obrócił go ku sobie i wielkim głosem opowiadał mu z zapalem:

— A więc ten kum Metody na Jeziorach stał się jakiś dziwny i nagle wyczytał w gazecie: „Nudzicie się? Kupcie sobie szopa pracza!”. A że kum Metody nie miał dzieci, napisał do gazety, w której ukazało się to ogłoszenie, i za tydzień dostarczono mu szopa pracza, w skrzyneczce. No i było z nim sto pociech! Jak dziecko, z każdym się przyjaźnił, ale miał jedną słabość, co zobaczył, to zaraz wszystko prał. I tak kumowi wyprał budzik i trzy zegarki, że nikt już ich nie naprawi. Kiedy indziej znów wyprał wszystkie przyprawy. Innym razem, kiedy kum Metody rozebrał rower, ten szop pracz chodził mu prać części do potoka, zjawiali się sąsiedzi i pytali: „Kumie Metodku, nie potrzebujecie przypadkiem czegoś takiego? Znaleźliśmy to w potoku!”. A kiedy mu tak przynieśli już kilka części, poszedł Metody zobaczyć, co się tam dzieje: a to szop pracz porozciągał mu niemal cały rower. Dobre te babeczki, nie ma co! A ten szop pracz chodził się załatwiać tylko za szafę, tak że cały dom śmierdział szczykami, w końcu musieli wszystko przed tym szopem praczem zamykać, a nawet rozmawiać ze sobą szeptem. Te babeczki naprawdę są świetne, szkoda, że nie czuję się najlepiej. Ale szop pracz przyuważał, gdzie kładą klucz, i otwierał sobie wszystko, co przed nim zamykali. Ale najgorsze, że ten szop pracz nie spuszczał z nich wieczorem wzroku i jak kum Metody kumę pocałował, to szop pracz pchał się i chciał także, no i musiał kum Metody chodzić z kumą Różą na randkę do lasu jak za kawalerskich czasów, i jeszcze ciągle się oglądali, czy szop pracz nie stoi za nimi. Tak więc się nie nudzili; pewnego razu wyjechali na dwa dni, a szop pracz tak się podczas tych Zielonych Świątek nudził, że rozebrał cały wielki piec kaflowy w pokoju i tak zaświnił meble i pościel, i bieliznę w szafie, że kum Metody usiadł i napisał do „Morawskiej Orlicy” ogłoszenie: „Nudzicie się? Kupcie sobie szopa pracza!”. I od tej pory nie cierpi już na melancholię.

Stryjaszek Pepi opowiadał i jadł jedną babeczkę za drugą, teraz sięgnął do brytfanny, całą ją obmacał, a kiedy nic nie znalazł, machnął ręką i powiedział:

— Jakoś nie bardzo się czuję...

— Jak Bochalena — podsunęłam.

— Co też za bzdury pani plecie! — wrzasnął stryjaszek Pepi. — Bochalena to ta baba, co opychała się jabłkami, a raz miała widzenie...

— Od tych jabłek? — przerwałam mu w pół zdania.

— A gówno! Widzenie, no, baby miewają widzenia, z kościoła miała widzenie — zakrzuszył się stryjaszek Pepi — że nad naszym miasteczkiem leci w nocy ogromny koń, a temu koniowi płonęła grzywa i ogon, i Bochalena powiedziała wtedy: „Będzie wojna!”, i ta wojna rzeczywiście była, ale, Francinie, w zeszłym roku nasze miasteczko przeżyło nie lada wstrząs! Baby padały na kolana, ja też to widziałem, nad placem i nad kościołem leciało w powietrzu Dzieciątko Jezus! Ale później wszystko się wyjaśniło: ten mały pędrak Lolan pasł baranki, a jak odbywały się manewry lotnicze, to aeroplany ciągnęły za sobą taki worek i do niego strzelało się z karabinów maszynowych, no i zapomnieli o linie i ta lina ciągnąc się po ziemi zaczepiła o nogę Lolana, to bardzo ładne dziecko, z jasnymi włoskami, i jak ten aeroplan wzbił się w górę, pociągnął za sobą linę, a wraz z nią Lolana, i nad naszym miasteczkiem leciał w powietrzu Lolan, a baby myślały, że to leci Dzieciątko Jezus, i kiedy się ta lina zaczepiła o lipy koło kościoła, to Dzieciątko zaczęło spadać jak kum Zawiczak z gałęzi na gałąź, i na ziemię spadł Lolan, i pyta: „Gdzie moje baranki?”. A baby klękały, aby im pobłogosławił...

Stryj opowiadał, a jego głos — dźwięczny i radosny — dudnił jak grzmot w pokoju.

Francin ubierał się, teraz włożył surdut redingote, ręką przycisnął krawat w kształcie liścia kapusty włoskiej, poprawił mu kauczukowy kołnierzyk z zagiętymi rożkami, podniosłam wzrok i popatrzyłam mu w oczy, i przesłałam pocałunek na czubku palca.

— Czternaście dni? — szeptał. — Zobaczysz, że zostanie tu czternaście lat, a może nawet do końca życia!

Widząc, jak bardzo jest nieszczęśliwy, wycisnęłam na jego ustach ten swój pocałunek, a on zawstydził się, spojrzął na mnie z wyrzutem, że przyzwoita kobieta tak się przy ludziach nie zachowuje, choćby nawet tymi ludźmi był tylko stryjaszek Pepi, i wysliznął się z moich ramion, i przez tylne wejście poszedł do biura, słyszałam przez ścianę, jak rozwarły się oszklone wahadłowe drzwi, ach, ten Francin z tą swoją „przyzwoitą kobietą”, odkąd za niego wyszłam, ciągle mi tłumaczył i uściślał pojęcie przyzwoitej kobiety, malował mi obraz wzorowej kobiety, jaką nigdy nie byłam i nawet nie mogłam być, ogromnie lubiłam czereśnie, kiedy jednak jadłam je po swojemu, tak łapczywie i zachłannie, czerwienił się po korzonki włosów, a ja nie rozumiałam przyczyny jego wzburzenia, dopiero sama spostrzegłam, że to czereśnia w moich ustach jest powodem jego zaniepokojenia, bo przyzwoita kobieta tak łapczywie czereśni nie je. Kiedy na jesieni czyściłam kolby kukurydziane, to znów patrzył na moją odzierającą liście dłoń i na te moje ogniki w oczach, i znów: przyzwoita kobieta tak nie czyści kukurydzy, a jeśli już, to nie z takim głośnym śmiechem i płonącymi oczyma jak ja, że gdyby tak to zobaczył jakiś obcy mężczyzna, to mógłby w tej odzieranej moimi rękoma kolbie dostrzec jakiś przychylny znak dla swoich chuci.

Stryjaszek Pepi rozłożył na taborecie swoje szewskie skarby, potem zdjął mi trzewiczek z nogi, a kiedy wymienił wszystkie jego części, włożył ponownie cwikier bez szkieł i powiedział uroczyście:

— Ponieważ jest pani damą niezwykle inteligentną, naprawię pani wszystkie podarte buciczki, bo ja szyłem buty dla dworskiego dostawcy, który cieszył się względami nie tylko dworu cesarskiego, ale przychylnością całego świata, bo wszędzie buty rozwoził.

— Na rowerze... — podesunęłam.

— A gównu! — ryknął stryjaszek Pepi. — Czyż taki dostawca dworski to jakiś szcurołap lub handlarz skór? Taki to ma statki i pociągi, gdyby takiego cesarz spotkał na rowerze...

— To i cesarz pan jeździł na rowerze? — klasnęłam w dłonie.

— Ze też chce się pani kłapać dziobem jak młoda sroka! — zaczął krzyczeć stryjaszek. — Mówię, że gdyby cesarz spotkał takiego dostawcę na rowerze, toby mu odebrał...

— Rower — dokończyłam.

— A gównu! Tytuł, a z szyldu orła! — Stryjaszek Pepi krztusił się i charczał, kiedy jednak spojrzął na taboret, uśmiechnął się uszczęśliwiony, wyciągnął pudełeczko, otworzył je, powąchał, mnie także dał powąchać i machnął ręką.

— Niech pani sobie pogratuluje, szwagierko, bo to jest szewska smółka, czyli klej obuwniczy — wyjaśnił stryjaszek Pepi i położył otwarte pudełeczko na krześle.

A przez ścianę było słyhać, jak w sali konferencyjnej przesuwały krzesła, dobiegał stłumiony gwar rozmów, szuranie podeszew, a potem krzesła ucichły i Francin rozpoczął posiedzenie: cichym głosem wygłaszał sprawozdanie z działalności browaru w ciągu ostatniego miesiąca.

— Stryjciu Józefku — odważyłam się w końcu — taki dworski dostawca to dostarczał także obuwie do wielkich majątków ziemskich, do dworów, prawda?

— A gównu! — ryknął stryjaszek Pepi — że też bredzi pani jak małe dziecko! A cóż dworski dostawca może mieć wspólnego z krowami i zbożem? Taki dworski dostawca jest szalenie nerwowy, stary Kafka był tak nerwowy, że kiedy jego córeczka raz po raz rozbijała sobie głowę o kanty mebli, to stary Kafka, dostawca dworski, wziął z pracowni cały kosz poduszek do watowania ramion i tymi poduszczkami wyłożył wszystkie kanty sprzętów, a że był bardzo nerwowy, to kiedyś tak gwałtownie otworzył drzwi, że tę swoją córeczkę tymi drzwiami zamroczył, i Latał mu poradził, aby taką jedną poduszczkę umieścił na czole swojej córeczki.

— Ten Latał, stryju Józefku, to był stryjeczny brat Francina? — spytałam.

— A gównu! — krzyknął stryjasek Pepi. — Latał to nauczyciel. W zeszłym roku wypadł z pierwszego piętra, gdy tłumaczył, co to jest czas równomiernie... że to jest tak: pociąg jedzie, jedzie, jedzie, jedzie, jedzie... i Latał poruszał obu rękoma, i niczym pociąg przesunął się w stronę otwartego okna, i wypadł z niego, a cała klasa rzuciła się radośnie do okna, na pewno pan nauczyciel połamał sobie w tulipanach nogi, ale Latała już tam nie było, obszedł dom naokoło przez podwórze i po schodach wrócił na górę, i znów: pociąg jedzie, jedzie, jedzie, jedzie... i znów wszedł do klasy za plecami uczniów, którzy wychylali się z okna...

A z sali konferencyjnej słychać było przez ścianę głos prezesa, pana doktora Gruntorada:

— Panie kierowniku, a któż to tam tak nieludzko ryczy?

— Mój brat przyjechał w odwiedziny, proszę pana — wyjaśnił Francin.

— A więc niech pan tam, panie kierowniku, pójdzie i poprosi szanownego brata, aby się miarkował! Ten browar należy do nas!

— Ten Latał miał za żonę Mercinę, pańską siostrę cioteczną, prawda, stryjciu Józefku? — powiedziałam czule.

— Skądże znowu! Z Merciną ożenił się kum Waniu-ra, ten kucharz, co jeździł transbałkańskim ekspresem, mieszkał tu, w Czechach, gdzieś w Mnisim Grodzisku, a że ten transbałkański ekspres przejeżdżał przez Mnisie Grodzisko raz na tydzień, wobec tego Merciną o wpół do jedenastej rano wypuszczała psa, pies szedł na dworzec, kum Waniura wychylał się z transbałkańskiego ekspresu i rzucał dużą paczkę kości, i ten pies zabierał je do domu, ale w tym roku, jak Waniura rzucił te kości, to ta paczka przewróciła zawiadawcę stacji i Waniura musiał mu płacić za zanieczyszczenie munduru! — krzyczał stryjasek Pepi.

I znowu wziął mój trzewiczek i włożył ten cwikier bez szkieł, i wykrzykiwał radośnie:

— No i co pani przyjdzie z tych głupstw? Ja pani jeszcze raz wszystko wyjaśnię, a potem dam pani to do rąk i sama pani spróbuje. A więc to jest pariser sznyt, a to na bucie to wierzch albo gelenk czy też przyszwa. To znowu jest podeszwa albo zelówka, a to koturn, czyli obcas. Niech pani pamięta, szwagierko, że kto chce być mistrzem obuwniczym, czyli szewcem, musi mieć kartę rzemieślniczą, a taka karta to tyle co matura albo doktorat. Dostawca dworski Weinlich...

— Ulrich? — Osłoniłam ręką ucho.

— Weinlich! — ryczał stryjasek. — Wein jak wino... A więc pewien półgłówek spartaczył buty i przyniósł je temu dworskiemu dostawcy Weinlichowi, a ten dostawca powiada: „Ależ człowieku, pan te buty sknocił! I co teraz z nimi zrobić?”. A ten półgłówek powiada: „To niech pan je sprzeda Żydom!”. A że Weinlich sam był Żydem, nie wytrzymał i wrzasnął: „A czy Żydzi to świnie?”.

— Józefku — powiedziałam cichutko.

— A gównu! — zagrzmiął stryjasek i podniósł się nade mną groźnie. — Ja tam wszędzie otrzymywałem same pochwały. A zresztą co tacy wielcy państwo mają się ze mną spoufalać? Więc żadne mi tam Józefku! Szwagierko, jest pani głupia jak zdawany wieczorem egzamin!

I stryjasek tak mocno walnął się pięścią w czoło, że cwikier poleciał pod szafę, ale spojrzenie na mój buci-czek stryjka ostudziło, usiadł i wskazując paluszkami nadal pouczał mnie gromko:

— A więc to, jak już powiedzieliśmy, jest obcas, czyli koturn, a na tym obcasie, czyli koturnie, znajduje się flek, czyli... . . .

Wzięłam w rękę długą żelazną łyżkę, która była na końcu szorstka jak język wołu, i spytałam:

— Stryjciu Józefku, to jest tarnik, prawda?

— Co takiego? — ryknął zraniony stryjasek. — Tarnik to jest to, tarnik, czyli ścieracz, a to, co pani trzyma w rękach, to raszpla, czyli pilnik albo też...

Drzwi otwały się nagle i stanął w nich Francin, przyciskając dłonią krawat; rozłożył ręce i uklęknął, pokłonił się w pas stryjкови Józefowi, a potem mnie i powiedział:

— Ach, ułani, ułani, czego tak wrzeszczycie? Józku, czemu się tak wydzierasz? — I położył dłoń na otwartym pudełeczku z klejem.

— To nie ja... — wyjąkał stryjasek Pepi.

— A więc kto? Może... ja? — Francin wskazał oburącz siebie.

— Ktoś tu we mnie — powiedział stryjasek Pepi w zakłopotaniu kręcąc paluszkami młynka.

— Uspokójcie się... Odbywa się posiedzenie rady nadzorczej browaru, sam pan prezes posłał mnie tu z tą prośbą... — Francin podniósł rękę i wycofał się na korytarz.

A potem znów słyhać było jego cichy głos, Francin podjął w przerwanym miejscu sprawozdanie, wyjaśniał teraz, w jaki sposób w przyszłym miesiącu zostaną wyrównane pasywa miesiąca, który właśnie upłynął. Przyniosłam garnczek smalcu i smarowałam stryj aszkowi Pepi kromkę za kromką, kiedy zamierzał się odezwać, podawałam mu następną pajdkę, jednakże w sali konferencyjnej głos Francina ucichł, rozległo się szuranie podeszew, potem okrzyki, zatrzeszczały nogi krzesel Thoneta, jakby wszyscy członkowie rady nadzorczej wstali, myślałam, że to już koniec posiedzenia, ale głos prezesa rady nadzorczej browaru, pana doktora Gruntorada, oznajmił:

— Ogłaszam dziesięciminutową przerwę w obradach.

I drzwi łączące biuro z korytarzem otworzyły się gwałtownie, jakby ktoś w nie kopnął, i do pokoju wpadł Francin, rękę przyciskał do krawata i krzyczał:

— Kto mi podłożył ten klej na krzesło? To straszne! Przylepiłem sobie tak mocno arkusz papieru, że nie mogłem tej strony odwrócić! Pan de Giorgi chciał mi pomóc i tak się upaakał klejem, że nie mogłem później oderwać rąk od zielonego sukna! Pan prezes tak sobie wysmarował cwikier, że przylepił mi się do nosa! A ja, spójrzcie tylko, przylepiłem sobie palce do krawata! — Francin odsunął rękę i gumka przytrzymująca krawat napięła się.

— Przyniosę trochę ciepłej wody — powiedziałam.

Ale Francin gwałtownie szarpnął ręką, gumka naprężyła się i zerwała, ręka z krawatem odskoczyła i gumka smagnęła Francina po szyi, tak że jęknął cicho jak mały chłopak:

— Au!

Stryjasek Pepi wziął wieczko pudełka, podsunął je Francinowi przed oczy i oznajmił z dumą:

— To produkuje centrum świata obuwniczego w Wiedniu, firma „Salamander”.

I stryjasek przytrzymał sobie na nosie cwikier bez szkieł.

Co miesiąc jeździł Francin motocyklem do Pragi i za każdym razem coś mu się w drodze psuło, tak że musiał zatrzymać się i naprawiać. Jednakże zawsze wracał rozpromieniony, piękny, i musiałam ze szczegółami wysłuchać wszystkiego, co musiał zrobić, aby nie nadającego się do dalszej jazdy oriona przemienić na powrót w sprawny motocykl, który zawsze dociera do celu. „Dociera do celu” to znaczy, że motocykl wracał do browaru, chociaż czasami trzeba go było przyprowadzać. Ale Francin nigdy się nie skarżył, pchał czasami cały ten pojazd dziesięć, piętnaście, czasami tylko pięć kilometrów, a kiedy przyprowadził oriona ze Zwierzynka, wsi oddalanej o trzy kilometry, cieszył się, że coraz z nim lepiej. Dziś Francin wrócił z Pragi ciągniony krowim zaprzęgiem. Zapłaciwszy chłopu wbiegł do kuchni, a ja jak zwykle uściskałam go, objęłam i znów stanęliśmy pod opuszczaną lampą, a jeśliby ktoś patrzył na nas przez okno, na pewno bardzo by się zdziwił. Ilekroć Francin przyjeżdżał z Pragi, za każdym razem powtarzał się taki rytuał: Francin zamykał oczy, a ja sięgałam mu do wewnętrznej kieszeni, Francin jednak kręcił głową, więc sięgałam do lewej kieszeni, Francin kręcił głową, a później rozpinałam mu żakiet i sięgałam do kieszonki kamizelki, i Francin znów kręcił głową, więc w końcu sięgałam do kieszeni spodni i Francin kiwał głową, i ciągle miał błogo zamknięte oczy, a ja zawsze z jakiegoś schowka w jego ubraniu wyjmowałam maleńką paczuszkę, którą powoli rozpako-wywałam udając zachwyt i radość, znajdowałam pierścioneł, kiedy indziej broszkę, raz nawet zegarek na rękę. Jednakże rytuał ten nie

był odwieczny, przedtem, kiedy Francin wracał z Pragi, dokąd raz na miesiąc jeździł do Domu Browarnika, to kiedy wchodził, zawsze czekał, aż zapadnie zmrok, prosił mnie, abym zamknęła oczy, i ja zamykałam oczy, ledwie wszedł do kuchni, Francin prowadził mnie do pokoju, sadzał przed lustrem i błagał, abym mu obiecała, że nie będę patrzeć, a kiedy mu to obiecałam, wkładał mi piękny kapelusz na głowę i mówił: „Już”!, a ja patrzyłam w lustro, brałam ten kapelusz w palce i wkładałam go po swojemu, obracałam się i Francin zadawał mi pytanie:

— Kto ci to, Marychno, kupił?

— A ja odpowiadałam:

— Francin.

I całowałam go w rękę, a on mnie głaskał; kiedyś przyniósł coś i włożył mi na szyję, było to chłodne, otworzyłam oczy, a w lustrze błyszczał naszyjnik z jabloneckiego szkła.

— Kto ci to kupił? — spytał mnie Francin. A ja pocałowałam go w rękę i powiedziałam:

— Ty, Francinie. A on zapytał:

— Kto to jest Francin?

A ja odpowiedziałam:

— Mój mężulek!

I tak co miesiąc dostawałam od niego jakiś prezent, Francin znał wszystkie wymiary mojego ciała, znał je na pamięć. Okrężnie wypytywał mnie zawsze, co bym chciała dostać. Ale ja mu nigdy nie mówiłam tego wprost, zawsze napomykałam o czymś, a Francin się domyślał i kiedyś, kiedy po raz pierwszy przyniósł mi pierścionek, stanął pod tą opuszczaną zieloną lampą i nauczył mnie po raz pierwszy sięgać do swoich kieszeni i kieszonek, a ja zawsze od razu zgadywałam, gdzie ten upominek może być, ale zawsze sięgałam tam dopiero na końcu, aby Francinowi sprawić przyjemność.

Dziś, kiedy wrócił ciągniony krowim zaprzęgiem, poprosił, abym zamknęła oczy. I coś zaniósł do pokoju. A potem zgasił w pokoju światło, ujął mnie za rękę i zaprowadził tam z zamkniętymi oczyma, posadził na foteliku przed lustrem, potem podszedł do okien i zaciągnął story, i słyszałam, jak szcześnie wieko, myślałam, że kupił mi pudło na kapelusze, później usłyszałam, jak wsunął wtyczkę w kontakt, pomyślałam, że kupił mi jakiegoś robota, szybkowar czy też lampę kwarcową, a w końcu usłyszałam prychające, z wolna nasilające się dudnienie. Francin położył mi lekko rękę na ramieniu i powiedział:

— Już! .

Otworzyłam oczy: to, co zobaczyłam, było cudowne. Francin stał niczym czarnoksiężnik, w palcach trzymał rurkę, w której świeciło się bladobłękitnie takie soczyste fioletowe światło, które oświetlało rękę i twarz, i ubranie Francina, fioletowy stłumiony pożar w szklanej rurce, którą Francin zbliżył do mojej ręki i moje ramię stało się magnetyczne, czułam, jak z tego światła tryskają fioletowe opiłki, niematerialne iskierki, które wchodziły we mnie i nasycają mnie swoją wonią, tak że pachnę letnią burzą, i powietrze w pokoju pachniało, jak pachnie powietrze po uderzeniu piorunu, a Francin z wolna uniósł tę cudowną rzecz i zbliżył ją do swojej twarzy, i znów widziałam ten jego piękny profil, Francin stał tu uroczyście jak Gunnar Tolnes, potem zaś tę rurkę skierował na otwartą walizeczkę, a tam na czerwonym aksamicie, którym wybite było również wieko, leżały ułożone w wachlarz rozmaite szcotezki, rurki, dzwonki, wszystko było szklane i zamknięte, dziesiątki instrumentów ze szkła, Francin wyciągnął rurkę i brał z tej walizeczki, i wkładał do bakelitowego uchwytu jeden niezwykle przedmiot po drugim i za każdym razem to szklane naczynie rozjaśniało się i wypełniało fioletowym światłem, które tryskało i wnikało w ludzkie ciało, jeśli ktoś tego potrzebował. Francin zmieniał i wypróbowywał wszystkie te elektrody wypełnione neonem i mówił cicho:

— Marychno, teraz stryjaszek Pepi może się wydzierać, teraz mogą mi robić przykrości w browarze, może mnie obrażać, kto tylko zechce, tu... tu są lecznicze iskry, które przemieniają się w zdrowie, wysoka częstotliwość, która daje nową radość istnienia, nową odwagę życia... Marychno, to także dla ciebie, dla twoich nerwów, dla twojego zdrowia, ta oto katoda leczy uszy, tamta znów masuje serce, pomyśl tylko, fosforyzujące iskrzenie, które uszlachetnia ci serce! A ta z kolei jest przeciwko histerii i epilepsji, ten fioletowy ozon stłumi w tobie pragnienie robienia publicznie rzeczy,

o których przywoity człowiek może tylko myśleć lub robić je w domu, a kolejne elektrody są przeciwko jęczmieniom i plamom wątrobowym, naderwanym mięśniom, przeciwko migrenie, piętnasta zapobiega przekrwieniu mózgu i halucynacjom... — Francin mówił cicho, a przede mną rozwijały się coraz to inne wypełnione neonem kształty, bardziej niż instrumenty lecznicze przypominały te elektrody olbrzymie słupki czy też pręciki albo kwiaty orchidei, słuchałam go i po raz pierwszy byłam tak zdumiona, że nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa, chociaż elektrody przeciwko hysterii i epilepsji kryły w sobie aluzję do mojego stanu, nie miałam powodu bronić się, tak mnie to fioletowe piękno oszołomiło. Francin wziął elektrodę w kształcie słuchawki, zbliżył ją do mojego czoła, patrzyłam na swoje odbicie w lustrze... Ach, co to był za widok! Wyglądałam jak piękna rusałka, jak te panny na secesyjnych obrazach, fioletowa, z włosami rozjaśnionymi wieczorną gwiazdą! Próżniowe rurki z fioletową burzą zorzy polarnej! A Francin pochylił się znowu nad walizeczką i umieścił w bakelitowym uchwycie neonowy grzebień, ten neonowy grzebień błyszczał niczym reklama nad jakimś sklepem galanteryjnym we Wiedniu albo w Paryżu, a Francin zbliżył się do mnie, wsunął mi ten tryskający iskrami grzebień we włosy, patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i wiedziałam, że niczego więcej nie mogę już sobie życzyć prócz tego, by zawsze czasano tym grzebieniem moje włosy. A Francin z wolną, jakby o tym wiedział, przeczesywał tym świecącym grzebieniem moje rozwichrzone włosy, sięgające aż do ziemi, i znowu je unosił, i znowu przeczesywał grzebieniem o wysokiej częstotliwości, zaczęłam całą drzeć, musiałam objąć się ramionami, Francin oddychał cicho, nie mógł się powstrzymać, aby za każdym razem nie zanurzyć całej twarzy w moich włosach, którym ta chłodna fiołkowa burza robiła tak dobrze, że kiedy grzebień powracał, koniuszki włosów unosiły się, i znów ten przedzierający się w dół poprzez moje włosy fioletowy grzebień, to niebieściutkie czółenka płynące przez porohy, przez wodospad moich włosów, ten fioletowym szpikiem wypełniony, wydrążony grzebień ze szkła!

— Marychno... — szeptał Francin i usiadłszy za mną znowu przeciągał grzebień przez moje naładowane elektrycznością włosy. — Mary, będziemy to robić codziennie, kupiłem ci to, aby niebieskim kolorem złagodzić wszystkie wydarzenia, uspokoić twoje nerwy, dla mnie zaś będą elektrody o barwie czerwonej, które przyspieszają obieg krwi i przydają energii organizmowi... — mówił cichutko Francin, a z komórki za kuchnią rozlegały się uderzenia młotka i nasilał się wzbudzony i coraz bardziej gniewny głos, stryjaszek Pepi, który przyjechał na dwa tygodnie, był już u nas cały miesiąc, i Francin, kiedy go tak głośno mówiłam pod lampą i czułam ruchem ręki uwalniałam od strachu, powiedział, że ogarnia go przerażenie na myśl, że Pepi zostanie u nas dwadzieścia lat, a może nawet do końca życia. A stryjaszek Pepi naprawiał nam trzewiki i buty w komórce, gdzie również sypiał, ale to nie były buty, to było coś żywego, z czym się stryjaszek Pepi zmagał, kładł na łopatki, przeklinał całymi dniami, tak że dochodziły mnie przekleństwa, jakich nigdy przedtem nie słyszałam, a poza tym co pół godziny stryjaszek brał but, który naprawiał, a kiedy go już skłął, ciskał nim, odrzucał, siadał na taborecie i dąsał się, a jak mu złość przeszła, obracał się powoli, spoglądał na but, prosił go o wybaczenie i podnosił, głośno i zaczynał go znowu łątać, ściągając dratwa, a że miał jakoś niezręczne palce, raz po raz wrzeszczał tak, że przybiegałam myśląc, że wbił sobie szewski nóż w piersi, a w istocie szło tylko o to, że dratwa nie dała się przeciągnąć przez podeszwę i cały but groził — no i robił to — że wystrzelił jak skręcona sprężyna, kiedy wyskoczy z gramofonu, a więc ten but wyslizgiwał się jak mydło z dłoni, podskakiwał aż na szafę i pod sufit, jakby miał w sobie jakiś motorek, a kiedy wylaływał stryjaszkowi z ręki, stryjaszek rzucał się po niego jak bramkarz rzuca się robinsonadą po piłkę... A teraz stryjaszek krzyczał:

— Psiakrew, cholera!

Francin odłożył neonowy grzebień na miejsce, przykrył instrumenty w walizeczce aksamitną kapką, spojrzął w kierunku krzyczącego stryjka i powiedział:

— Te prądy fulguracyjne od razu dodały mi siły.
I położył walizeczkę na szafie.

Pociągnęłam za gałkę i stora poleciała w górę, a porcelanowa gałka uderzyła mnie leciutko w zęby, za sadem owocowym widziałam beżowy gmach słodowni, jakiś mielczarz szedł po schodach na pierwsze piętro z pękatą lampą w ręku, po chwili zniknął i znów ta lampa pojawiła się o piętro wyżej, jakby sama szła przez wieczorny browar, samotna lampa wspinająca się po schodach w górę, a potem lampa zniknęła, ale pojawiła się znowu i przesuwiała się od okienka do okienka krytego mostku łączącego słodownię z zaciernią. Któż to tam szedł tak, gdzie oczy poniosą, któż to niósł

lampę tylko dlatego, aby lampa sama poruszała się po słodowni i browarze? I stałam przy oknie, i niczym myśliwy czekałam na rogakza, który musiał mi wyjść na polanę... i to moje przeczucie przejęło mnie dreszczem. A teraz ta lampa pojawiła się aż w chłodni, dokąd nikt o tej porze nie chodzi, tam gdzie znajduje się kadź ogromna jak lodowisko do gry w hokeja, kadź, w której stygnie war piwa, brzeczek... a teraz lampa kroczy tam, lampa, która jakby wiedziała, że na nią patrzę, lampa niesiona tylko dla mnie, dziesięć ogromnych czterometrowych okien chłodni zakrywają żaluzje, uchylone tylko na wąską szparkę, tak jak okiennice we Włoszech i Hiszpanii, i ta lampa kroczy nieustannie, przerywana tymi setkami żaluzji, pocięty na paski ruch zapalanej lampy, która zatrzymała się teraz, widziałam, jak okno z tymi żaluzjami otworzyło się i ktoś z lampą wyszedł na dach lodowni, gdzie znajduje się góra lodu wysokości czterech pięter, tysiąc dwieście fur zamrożonej rzeki, lodowego stropu, który fura za furą wyciąg sypie z góry do lodowni, lodownia ta chroniona jest od ciepła półmetrową warstwą piasku i kamieni rzecznych, a na niej od wiosny do jesieni kwitną rojniki, setki tysięcy rojników wśród zielonych poduszek mchu... a teraz stoi tam pękata lampa, którą zaniósł tam jakiś robotnik z browaru, jakiś mielcarz... otworzyłam okno i usłyszałam z góry przyjemny męski głos, tak jakby to ta zapalona lampa śpiewała:

Już odeszła ta miłość,
choć jej wiele nie było,
odeszła, odeszła daleko!
Moja złota dziewczyno,
i następne też miną,
i co później, co później cię czeka?
Nie zostanie nic po niej,
zniknie w głębokiej toni
pod Nymburkiem...

A z sypialni rozległ się krzyk Francina: — Na miłość boską, Józku, nie mógłbyś przestać? Powoli wyszłam z pokoju, dziś nie patrzyłam nawet, jak prąd elektryczny z wolna gaśnie, tak jak ta miłość, co utonęła w głębokiej toni... Francin zapalił już lampy, wyszłam na korytarz, a tam na zydelku siedział Francin, obie ręce przyciskał do piersi i zaklinał stryjaszka, żeby dał wszystkiemu spokój i skoro już tu jest, to niech sobie czyta, chodzi do kościoła, do kina, ale niech w domu będzie cisza i spokój... Francin chciał wstać, lecz jakoś mu się to nie udawało, spróbował jeszcze raz, ale zrośnięty był ze stołkiem, przysłoniłam sobie dłonią usta, bardzo się przestraszyłam, bo wiedziałam, że Francin usiadł na pudełeczku z szewskim klejem, stryjaszek Pepi był skruszony, tak chętnie by bratu naprawił buty, tyle o tym opowiadał, ponieważ ze wszystkiego, co kochał na świecie, najbardziej kochał brata, Francin chciał wstać na siłę, ale nie mógł się oderwać i pochylił się, i upadł, leżał na podłodze, a stołek wraz z nim, uklęknęłam, usiłowałam Francina oderwać, ale szewska smółka, czyli klej, przylepiła Francina tak mocno, że wyglądał jak zwalony pomnik siedzącego Chrystusa, stryjaszek Pepi ciągnął Francina za ramiona, spróbowałam położyć się za Francinem i ciągnąć w przeciwnym kierunku za stołek, ale wydawało się, że ja swojego męża, a Pepi swojego brata raczej rozerwiemy na pół, niż wydostaniemy z tarapatów, wstałam i moje włosy coś podniosły, ujęłam je w palce, położyłam na kolanach i zobaczyłam, że moje włosy przylepiły się do drugiego pudełeczka z szewską smółką, czyli klejem, wzięłam nożyczki i odciąłam pudełeczko wraz z końcami włosów, i to pudełeczko zaplątane w nitki moich włosów leżało teraz niczym sycylijska bulla. Francin zobaczywszy, co się stało z moimi włosami, wspiął się jak koń, wspaniały dźwięk drącej się tkaniny rozległ się w komórce i Francin uwolnił się, i stał znów piękny, z oczyma tryskającymi zdrowym, świętym oburzeniem, brał po kolei kopyta i pudełeczka, i paczuszki kołków, a stryjaszek Pepi, myślałam, że ten widok powinien mu ranić serce, ale Pepi z zapalem podawał bratu wszystko, co mogło się palić, i Francin z coraz większą ulgą rzucał to pod kuchnię. Szewski klej zajął się tak gwałtownie, że płomień uniósł fajerki, rury wsysały ten płomień aż do komina, ten niemal dwumetrowy płomień, długi jak moje włosy.

Stryjaszek Pepi najbardziej lubił siadywać za stodołą, osłonięty z jednej strony przez sad owocowy, z drugiej zaś — komin, pod którym leżały ułożone równiutko klepki dębowe wszystkich wymiarów, klepki, z których w stolarni robiono beczki, wedle potrzeby: małe, czyli „szczenięta”, dwudziestopięciolitrowe, pięćdziesięciolitrowe i hektolitrowe oraz dwuhektolitrowe, czyli podwójne, a także ogromne pięćdziesięciohektolitrowe i stuhektolitrowe beczki, w których w komorach i w piwnicach przechowywano całe wary piwa, beczki, w których piwo dojrzewało na piwo zwyczajne

albo wy-stałe. Stryjaszek Pepi, kiedy już nie mógł szewcować, tu właśnie znalazł kij i chodził z nim wzdłuż stodół, i ćwiczył parademarsze, czyli marsze defiladowe, i szermierkę na bagnety. Francin prosił mnie, żebym dopilnowała, aby nie krzyczał nad miarę.

— To dobrze, szwagierko, że pani tu jest — powiedział Pepi. — Ten Francin ma słabe nerwy, przy tej niedomodze w myśl dziełka pana Batisty powinien myć sobie przyrodzenie ciepłą wodą albo zażywać ruchu na świeżym powietrzu. Ale skoro już pani tu jest, to będziemy ćwiczyć szkołę, czyli szulbildunk, bo ja tam miałem same celujące i wyróżnienia oraz pochwały, nie tak jak pewien głupek, Hanak, który podczas przeglądu wyszedł z szeregu i powiedział pułkownikowi von Wuchererowi: „Tu macie, gospodarzu, te wasze łatki i szmatki, bo ja se idę do domu, ja żołnierzem nie będę...”, a pułkownik ryczał na podoficerów: „Co za cholere tu macie?”.

— Józefka — powiedziałam.

— A gówno! — ryknął Stryjaszek Pepi. — Mnie stawiano wszystkim za wzór. A zresztą czy pułkownik von Wucherer mnie znał? Czy może pamiętać tysiące ludzi? Pewnego razu wybrał się na panienki, a dwaj żołnierze, głuptasy, zatrzymali ten powóz, aby ich podwiózł, i kiedy zobaczyli, że w powozie siedzi rozwalony von Wucherer, żołnierze zasalutowali, a von Wucherer pyta łaskawie: „Dokąd to, żołnierzyki, jedziecie?”. A oni: „Jedziemy na urlop”. A von Wucherer powiada: „Kto jedzie na urlop, musi mieć urlaubszajn. Gdzie go macie?”. Żołnierze zaczęli szukać po kieszeniach, a von Wucherer pyta jednego: „Jak się nazywacie?”. A ten żołnierz powiada: „Szim-sa”. Wobec tego von Wucherer zwrócił się do drugiego: „A jak wy się nazywacie?”. A ten drugi powiada: „Rzim-sa”. Ten żołnierz, który powiedział, że nazywa się Szim-sa, zaczął uciekać w pole, więc von Wucherer rozkazał: „Rzimso, sofort przyprowadzić mi tu tego Szimsę!”. Ale ten Rzimsa uciekł razem z tym Szimsą; więc pułkownik zawrócił powóz i pognął ogiery z powrotem do koszar, i natychmiast zapytał, w którym plutonie służą ten Rzimsa i Szimsa. Ale w wykazach nie było ani Rzimsy, ani Szimasy, wobec tego pułkownik von Wucherer, który mawiał, że ma pamięć jak aparat fotograficzny, rozkazał w koszarach zrobić zbiórkę i chodził od jednego żołnierza do drugiego, ujmował go za brodę i patrzył mu z bliska w oczy, jakby mu chciał dać buziaka, i tak przez dwa dni, ale nie poznał ani tego, który przedstawił się jako Rzimsa, ani tego, który powiedział, że nazywa się Szim-sa... Jakże więc taki pułkownik może pamiętać Józefka?

— Pssst — powiedziałam. — Po południu odbędzie się posiedzenie rady nadzorczej. I

— To prawda — zgodził się stryjaszek cichutko — ale teraz panią nauczę, z jakich części składa się karabin. — I stryjaszek wziął kij, z którym ćwiczył, ujął go z takim zjawstwem i ostrożnością, jakby to naprawdę był wojskowy karabin, wskazywał palcem i kolejno wymieniał wszystkie części, i zakończył: — A to jest kolbenszuh, czyli stopka, a to jest tak zwany myndunk, czyli muszka.

— Muszka hiszpańska — powiedziałam.

— A gówno! Czemu kłapie pani dziobem jak młode sroki? Szczerbinka i muszka, a nie żadna muszka hiszpańska! Gdyby pani coś takiego powiedziała kapralowi Brczuli, to tak by panią trzepnęła, że tylko nóżki by pani , zadrgały jak królikowi!

A spoza sadu owocowego słycać było gniewne zamykanie okien w biurze, z rachunkowości wybiegł Francin w białej koszuli, widziałam, jak biegnie przez wysoką trawę, jak uchyla się przed gałęziami drzew, piękny był to widok: biegnący mężczyzna skacze niczym w biegu z przeszkodami z wyciągniętą do przodu nogą, która zaraz opadnie w trawę, a z tą drugą nad trawą niemal w poziomym położeniu, i powtarzał na przemian nogami cały ten piękny ruch, przesuający się ponad wierzchołkami trawy. Kiedy się zbliżył, zobaczyłam, że ściska w palcach pióro ze stalówką redis numer trzy.

— Hej, wy ulani, co tu znów wyprawiacie?

— Bawimy się w wojsko — odparłam.

— Bawcie się, w co chcecie, ale po cichu, panna księgowa rozlała całą butelkę atramentu! — krzyczał po cichu Francin.

— A więc gdzie się mamy bawić? — spytałam.

— Gdzie chcecie, wleźcie choćby na komin, byle tylko nie było was słycać... cały żurnal oblała atramentem! — wołał Francin, rękawy białej koszuli miał powyżej łokci uniesione gumkami, obrócił się i już nie biegł, brnął poprzez wysoką trawę, patrzyłam w ślad za nim, a on odwrócił się, przesłałam mu pocałunek na dłoni i dmuchnęłam ten pocałunek za nim niczym piórko.

— Na komin? — dziwił się Pepi.

— Na komin — potwierdziłam. A Francin zniknął za gałęziami, jego biała koszula weszła teraz do biura.

— Wobec tego: Direkcion! — wykrzyknął stryjaszek Pepi i wspiął się na pierwszą klamrę, po czym zmitygował się, zeskoczył i powiedział: — Damy mają pierwszeństwo!

I to, o czym od pierwszego dnia w browarze marzyłam: żeby znaleźć w sobie dość siły i wspiąć się na komin browaru, to moje marzenie sterczało teraz i wznosiło się przede mną, odchyliłam do tyłu głowę i chwyciłam się pierwszej klamry, perspektywa uciekała w górę zmniejszającymi się coraz bardziej klamrami, a sześćdziesięcio-metrowy komin w tym optycznym skrócie przypominał ciężkie, wycelowane w niebo działo, to, co mnie pociągało, to powiewający zielony trykot, który ktoś przywiązał do piorunochronu, i chociaż na dole ledwie czuło się lekki powiew, ten zielony trykot trzepotał głośno i stojąc w otwartym oknie słyszałam, jak ten zielony trykot wydaje dźwięk przypominający łomotanie blachy, i chwyciłam się pierwszej klamry, wolną ręką rozwiązałam zieloną wstążeczkę, która przytrzymywała moje włosy, i szybko przenosiłam ręce z klamry na klamrę, nogi niczym sprzężone osie nabrały tego samego rytmu, w połowie komina poczułam pierwsze uderzenie przepływającego powietrza, włosy mi się rozwiały, niemal mnie wyprzedziły, nagle poczułam się cała w swoich rozpuszczonych włosach, które rozpostarły się wokół mnie jak muzyka, kilkakrotnie moje włosy kładły się na klamrze, musiałam uważać i zwolnić pracę nóg, bo stapałam po własnych włosach, ach, gdyby tu był pan Bodzio, on by przytrzymał moje włosy, przemieniłby się w anioła i w locie uważałby, aby włosy nie wplątały mi się w szprychy i łańcuch, jakoś to moje wspinanie się na komin przypominało jazdę na rowerze, poczekałam chwilę, wiatr jakby się uparł, że wypróbuje moje włosy, uniośł je i tak mi je zarzucił, że miałam wrażenie, iż wiszę o kilka klamer nad sobą na związanych w węzeł włosach, potem wiatr nagle ucichł, włosy rozwiązały się i z wolna — niczym uwolnione złote wskazówki kościelnego zegara — spadały te moje włosy, jakby z mojej głowy rozpostarł, a teraz z wolna zamykał ogon złoty paw. I ja skorzystałam z tego, i szybko przesuwając ręce coraz wyżej, ruch nóg uzgodniłam z pracą rąk, aż w końcu położyłam całą rękę na krawędzi komina, przez chwilę oddychałam głęboko jak zawodniczka na zawodach pływackich, kiedy skończy wyścig w basenie, a potem lekko jak z wody podciągnęłam się oburącz, przerzuciłam nogę przez krawędź, chwyciłam się piorunochronu i z wolna jak z syropu wyciągnęłam drugą nogę, uniosłam za sobą włosy, usiadłam i przerzuciłam włosy na kolana. Lecz nagle zerwał się wiatr i włosy wyślizgnęły mi się z dłoni, i te moje złote włosy powiewały tak samo jak w zeszłym roku przed pierwszym dniem wiosny, poruszały się te włosy jak morskiczyny w płytkim a bystrym potoku, trzymałam się jedną ręką piorunochronu i miałam wrażenie, że jestem boginią łowów Dianą z włócznią, policzki mi płonęły z zachwyty i czułam, że gdybym w tym miasteczku nie zrobiła nic prócz tego, że wspiałam się na ten komin, nie byłoby tego wprawdzie wiele, ale mogłabym tym żyć kilka lat, a może nawet całe życie. I pochyliłam się, i widziałam, że w głębi stryja-szek Pepi jest taki malusieńki, ledwie anioleczek z głową i rękami, zdziwiłam się, bo aż do tej pory miałam wrażenie, że stryjaszek Pepi ma gęste kędzierzawe włosy, ale teraz spostrzegłam, że wspina się ku mnie łysa głowa z rzadkim wianuszkiem włosów, teraz głowa ta położyła się na szczycie komina, wyciągnęła spod siebie drugą dłoń i chwyciła się krawędzi, spojrzał na mnie i jego twarz także promieniała szczęściem. Usiadł na kominie i jak gdyby nigdy nic jedną rękę założył za pas, drugą zaś przystłonił oczy.

— Psiakrew, szwagierko — odezwał się z podziwem. — Cóż by to było za piękne beobachtungsztele, czyli punkt obserwacyjny...

— Albo też wieża obserwacyjna — dodałam.

— A gówno! Wieża obserwacyjna jest dla cywilów, a punkt obserwacyjny, czyli beobachtungsztele, dla wojska, dla wojska, które prowadzi wojnę i obserwuje ruchy nieprzyjaciela. Szwagierko, mimo

że jest pani inteligentną i piękną kobietą, gdyby to usłyszał kapitan Tonser, to wypłazowałby panią szablą rycząc przy tym: „Jebem vam ćurce nadrobno!”.

— Józefku — powiedziałam płucząc nogi w sadzawce powietrza.

— Ależ do cholery, dlaczego mnie miałby jebać ćurce nadrobno? Mnie on lubił, nosiłem mu szablę!

— krztusił się stryjaszek Pepi i nachylał się nade mną, i jego twarz była przerażająca niczym kamienny maskaron na dachu kościoła.

— I co z tego! — Machnęłam ręką. — Czy to, stryjcium Józefku, nie piękne?

I przesuwalam wzrok po płytkim krajobrazie, ograniczonym wzgórzami i laskami; popatrzyłam na miasteczko i stwierdziłam, że do naszego miasteczka można się dostać tylko przez wodę, że jest to właściwie miasto na wyspie, przed miastem rzeka, która miasto opływała, rozdawała się i wzdłuż murów płynęły dwa potoki, które za miastem łączyły się z powrotem w rzekę, że właściwie każda ulica wyjazdowa ma dwa mosty, dwie kładki, a nad rzeką piętrzył się biały kamienny most, na którym stali ludzie, opierali się o poręcz i patrzyli na komin browaru, na mnie i na stryjaszka Pepi, na moje włosy, które łopotały w powietrzu, a te moje włosy lśniły i błyszcząły niczym papieska chorągiew, podczas gdy na dole panowała cisza. Na drugim brzegu rzeki wznosił się kościół, na wysokości mojej twarzy znajdowała się złota tarcza zegara, a wokół kościoła w koncentrycznych kręgach układały się ulice i uliczki, i domy, i budynki, z każdego okna niczym pierzyny wystawiały liście i kwiaty petunie i goździki, i czerwone pelargonie, całe to miasteczko było otoczone koroneczką murów obronnych i wyglądało z góry jak bryła chalcedonu. I oto na biały most wpadł wóz strażacki, hełmy strażaków błyszcząły, a trębacz trzymał złotą trąbkę i trąbił: „Pali się!”, i wszyscy strażacy mieli białe zgrzebne mundury, czerwony wóz zagrzemiał na moście niczym orkiestrion, strażacy trzymali się klamer i stali na tym strażackim turkocącym ołtarzu, który teraz skrył się za budynkami i ogrodami.

— Czy to prawda, stryjcium Józefie, że na froncie pasieś kozy? — spytałam.

— Kto ci to powiedział? — ryknął stryjaszek Pepi i usiadł wygodniej, a potem wyciągnął się na wznak i założył ręce pod głowę.

— Kioskarz Melichar — odparłam.

— Czyż kioskarz, i to w dodatku inwalida, może być na wojnie? — ryczał stryjaszek.

— Mówią, że Melichar podczas wojny był kapitanem, i wczoraj kapitan Melichar powiedział: „Nie daj Boże, żeby była wojna i żeby ja tak dostał tego Józefka pod swoją komendę na musztrze” — powiedziałam i przytrzymałam się piorunochronu, i patrzyłam na browar, i znów się zdziwiłam, że browar znajduje się za miastem, że jest otoczony dokoła murem tak jak to miasteczko po drugiej stronie, ale że wzdłuż murów rosną wysokie drzewa, jawory i jesiony, które także tworzą kwadrat, i że ten browar podobny jest do klasztoru albo jakiejś twierdzy, więzienia, że na szczycie każdego muru ciągną się nie tylko druty kolczaste, ale że każdy mur i każdy słup jeży się wpuszczonymi w beton odłamkami zielonych butelek, które z góry polśniewają jak ametysty i amaranty.

— Czyż on mnie mógł widzieć... nawet gdybym te kozy pasał? — powiedział stryjek i leżał nadal patrząc w niebo, z nogą założoną na podgiętym kolanie, i kołysał wolną stopą.

— Przez lornetkę — powiedziałam.

— A czy cesarz da lornetkę jakiemuś tam kioskarzowi? — zauważył stryjaszek.

— Jako kapitan miał Melichar dwie lornetki — powiedziałam widząc, że na moście jest już tyle ludzi ile jaskółek przed odlotem i że ktoś z mostu patrzy na mnie przez lornetkę. Uśmiechnęłam się do tej lornetki, a z głębi powiał wiatr i włosy zaczęły mi się rozchyłać niczym wachlarz ze strusich piór, widziałam, jak koło moich oczu zwijają się w górę kosmyki moich włosów, wokół całej mojej postaci utworzyła się taka aureola, jaką ma Najświętsza Panna Maria Bolesna na cokole na naszym rynku...

— A gdyby była wojna, to co by się stało, gdyby mnie Melichar dostał pod swoją komendę, co? — dopytywał się ciekawie Pepi i wydawało się, że walczy z ogarniającym go znużeniem.

— Powiedział, że gdyby znów wybuchła wojna, to podczas musztry zrobiłby palcem... o tak... i zawołałby: „Pepi zu mir!”. I już byś pędził z wywieszonym jęzorem i oddawał mu honory, i klękał przed nim na jedno kolano — powiedziała, a kiedy na niego popatrzyłam, stryjasek Pepi spał, usnął twardo, leżał na szczycie komina, który kołysał się, teraz dopiero spostrzegłam to po raz pierwszy na leżącym posągu stryjasek Pepi, że oboje wyraźnie się kołyszymy, jakbyśmy siedzieli na jakiejś zawieszanej pod niebem huśtawce. A od kapliczki pędzili strażacy, z góry konie wyglądały tak, jakby się spłoszyły, tylne nogi nawlekały się im w chomąta, a przednie wystrzelały im wprost ze łbów, tak jak ślimaki wystawiają rogi, cały ten wóz strażacki błyszczał jak dziecinna zabawka grożąc, że lada chwila się rozsypie i części wozu rozlecą się jak przy ulicy Stolarskiej ten pojazd wojskowy, kiedy wybuchły w nim granaty, a tam na kapitańskim mostku stał komendant strażaków, pan de Giorgi, członek kierownictwa browaru, na którego kominie siedziałam, mistrz kominiarski, a był komendantem strażaków, bo zamiast mieszkania miał muzeum strażackie, wszystko, co kiedykolwiek padło pastwą płomieni, wszystko to pan de Giorgi sfotografował, postarał się nawet o fotografie sprzed pożaru, tak że na wszystkich ścianach swojego mieszkania miał po dwie fotografie: krowa przed pożarem i krowa po pożarze, stodoła przed pożarem i po pożarze, wszystkie rzeczy, wszystkie zwierzęta, wszystkie osoby, które spło: nęły albo nadpaliły się, wszystko pan de Giorgi sfotografował i na pewno jedzie do browaru tylko po to, by, gdybym spadła, sfotografować panią kierowniczką browaru przed upadkiem i po upadku... a teraz ten strażacki orkiestron wpadł w zakręt w bramie browaru, koła zaskrzypiały i wóz zniknął za biurami, i już myślałam, że strażacy wyrócili się wraz z końmi, ale oto uroczyście wyjechali i trąbili, i strażacki wóz zatrzymał się tuż przy kominie... Myślałam, że chyba za chwilę uruchomią sikawki i będą sikać na wysokość komina, że pan de Giorgi poprosi mnie, abym stanęła na wierzchołku tego strzelającego w górę gejeru, a oni potem zaczną z wolna przykręcać kran i ja zacznę się zbliżać do ziemi, w miarę jak zniżać się będzie strumień wody, ale z wozu wybiegli strażacy, przyklekli, oddali sobie honory toporkami i nagle rozpostarli płachtę, sześciu strażaków płachtę tę napinało, odchylali się do tyłu i patrzyli w górę, ale kołysanie komina było widocznie tak znaczne, że strażacy z tą płachtą biegali tu i tam, gdzie bym ewentualnie mogła upaść.

I członkowie rady zjeżdżali się swoimi bryczkami, dawniej zjeżdżali się kłusem, ale dziś te bryczki pędziły drogami z wiosek i z miasta, konie gnały cwałem i galopem, i wszystkie te bryczki nie zatrzymały się jak zwykle przed biurem, tylko wszystkie zjechały się na browarnianym dziedzińcu, gdzie stali bednarze i pracownicy komory piwnej, i mielcarze, i wszyscy z odchylnymi w tył głowami patrzyli w górę, jakby oczekiwali powrotu z niebios Pana Jezusa albo zstąpienia Ducha Świętego. A oto od kapliczki nadjeżdżał sam prezes browaru, pan doktor Gruntorad, feudał i wielbiciel starej Austrii; jak zawsze siedział na koźle i w rękawiczkach z kozłowej skóry trzymał lejce, i na oczy miał z niepowtarzalną elegancją nasunięty kapelusz, wgrzyziony w bursztynową cygarniczkę palił papierosa i popędzał czarnego ogiera do browaru, podczas gdy jego stangret z pełnym zażenowania uśmiechem rozwałkał się niczym pan na aksamitnych poduszkach.

A na dole pan de Giorgi na próżno wydawał strażakom rozkazy, aby wdrapali się na komin, w końcu pan de Giorgi zdecydował, że sam wlezie na komin. I jego biały mundur zaczął się pięć, zatrzymywał się często, ale potem pięł się po klamrach, aż wreszcie jego hełm pojawił się u moich nóg.

— Stryjciu Józefie... — Potrząsnęłam stryjasek za nogę i stryj usiadł, przecierał sobie oczy, potem zerwał się przerażony i chwycił się piorunochronu. Pan de Giorgi wylazł na szczyt komina, oddychał ciężko, zdjął hełm i ocierał chusteczką pot.

— Łaskawa pani — powiedział — w imieniu prawa proszę panią, żeby zechciała pani zejść na dół. I pani szwagier również.

— Nie miewa pan zawrotów głowy, panie de Giorgi? — spytałam.

— W imieniu prawa proszę zejść na dół — powtórzył pan de Giorgi.

— A pójdzie pan pierwszy, panie de Giorgi? — spytałam.

— Nie — odparł pan de Giorgi i zajrzał w głąb komina. — Ze względów szkoleniowych opuszczę się środkiem komina... — dodał.

Trzymając się piorunochronu postawiłam nogę na klamrze, obróciłam się i znowu włosy mi się uniosły, znowu ten powiew z głębi rozwiął mi włosy, otwarty się po raz ostatni, jakby wiedziały o tym, po raz ostatni zapłonęła nad kominem browaru ta moja złota grzywa, znów niczym ogromną złotą monstrancją pobłogosławiłam tych wszystkich, którzy na mnie w tej chwili patrzyli, i sam pan de Giorgi był wzruszony tym, co widział.

— Jesteśmy świadkami niezwykłego wydarzenia, łaskawa pani, szkoda, że damy nie mogą być strażakami — oświadczył i ująwszy trąbkę, taką maciupeńką trąbkę, która przypominała konduktorskie kleszcze, zatraził na niej, ale trąbienie to było tak żalosne, jak kiedy beczy związane koźlą na rzeźnickiej bryczce, po czym pocałował mnie w rękę, a ja zaczęłam schodzić, szybko zbiegałam na dół, aby wyprzedzić swoje włosy, w obawie, że nadepnę na nie, zapłaczę się w nich i runę na dół. I nagle ujrzałam wokół siebie wierzchołki drzew, po czym jakbym schodziła z konaru na konar, postawiłam nogę na pewnym gruncie.

— To było cudowne — powiedział z zachwytem pan doktor Gruntorad — ale zasłużyła sobie pani na dwadzieścia pięć...

— Na gołą pupę — dokończyłam.

— I co pani tam, do licha, robiła? — spytał pan doktor.

— Jak pan to ujął: to było cudowne, a że było to cudowne, musiało też być niebezpieczne, a że było niebezpieczne, to właśnie było to, co naprawdę lubię — powiedziałam, a Francin stał błydy, z głową na piersiach, w re-dingocie, białych mankietach i kauczukowym kołnierzyku, i w krawacie w kształcie liścia kapusty włoskiej.

A mechanicy otworzyli ogromne drzwiczki komina, posypała się sadza i ta czarna lśniąca jaskinia była tak duża jak altana. Stryjaszek Pepi zeskoczył z ostatniej klamry i powiedział:

— I oto znów austriacki żołnierz odniósł wspaniałe zwycięstwo, nieprawdaż?

Wszyscy jednak wpatrywali się w czarną komórkę u podstawy komina.

— W którym pułku pan służył? Kto był dowódcą pańskiego pułku? — spytał pan doktor Gruntorad.

— Freiherr von Wucherer! — Stryjaszek Pepi zasalutował.

— Gut — zawołał pan doktor i dodał: — Panie kierowniku, co pański brat umie?

— Z zawodu jest szewcem, ale przez trzy lata pracował także w browarze — odparł Francin.

— A więc, panie kierowniku, proszę pańskiego brata przyjąć, zakwaterować w słodownianej izbie czeladnej. Na krzyk najlepsza jest praca — powiedział pan doktor Gruntorad.

A w czarnej jaskini pojawiła się biała nogawica, niemal pod samym stropem tej obrośniętej sadzą altany, szukała klamry, ale klamry tam chyba nie było, więc nogawka poruszała się tam, tak jakby pan de Giorgi jechał na rowerze. I zastępca komendanta strażaków dał rozkaz, i strażacy z płachtą wbiegli do komina, rozpostarli tę płachtę, i zastępca komendanta strażaków zawołał w górę, w kłęby sadzy: ; ...

— Panie komendancie, może się pan puścić! Jesteśmy tu z płachtą!

I pan de Giorgi puścił się klamry, najpierw z komina buchnęły pył i sadze i wysypało się to przed komin, krusze i puszyste drobinki sadzy, i rozległo się pokastywa-nie, i wybiegli zupełnie już czarni strażacy, i wynieśli w płachcie coś, jakby złapali ogromnego szczupaka albo sumę, i położyli płachtę na ziemi, i z pyłu i sadzy podniósł się zupełnie czarny pan de Giorgi; śmiał się, białe zmarszczki śmiechu rozchodziły się pęknięciami po czarnej twarzy, pan de Giorgi wyjął trąbkę, zatraził i oznajmił:

— Na tym kończymy akcję ratunkową!

I wyszedł z przmy pyłu węglowego, i wyciągał obie ręce wymuszając gratulacje, i szedł dumny z siebie i sztywny z radości, a ja wiedziałam, że pan de Giorgi będzie tym zejściem środkiem komina żyć nie przez kilka lat, ale przez całą resztę swojego życia.

Na rogu słodowni był zawsze taki przeciąg, taki wiatr, że musiałam iść niemal zgięta w pół albo obrócić się i położyć się w wicherze niczym w bujanym fotelu. Wichrzenie to wciągało moje włosy jak

namiętny palacz dym papierosowy. Ledwie udawało mi się precyzyjnie przejść przez te powietrzne rafy, przy drzwiach słodowni natomiast panowała taka cisza, że padałam na kolana albo na plecy. Mimo to jednak zawsze cieszyłam się na myśl o tym powietrznym pojedynku, w którym musiałam walczyć o ręczniki. Pewnego razu wiatr wyrwał mi prześcieradło kąpielowe frotte, ledwie zdążyłam wyciągnąć po nie rękę, przeciąg, który miał poczucie humoru, porwał je dalej, ponownie wyciągnęłam rękę, kiedy prześcieradło już, już dotykało moich włosów, wicher figlarnie odskoczył z tym ogromnym ręcznikiem kawałek dalej, a kiedy prześcieradło znowu opadło, rzuciłam się po nie, ale wiatr z przeciągiem śmiechem porwał je w górę; jak latawiec na jesiennym niebie płynęło to prześcieradło kąpielowe frotte, tańczący biały zygzak, w rytm wiatru poruszający się ręcznik, i zniknęło w ciemności nad słodownią. A jednak to było piękne: pozwolić, aby wiatr wziął cię znowu do ust jak miętowy cukierek, pozwolić się nasycić zapachem tej wietrznej kąpeli. Kiedy potem namacałam klamkę, przeciąg z drugiej strony drzwi całym ciałem napierał na nie, więc i ja musiałam całym ciałem położyć się na tych drzwiach, jednakże przeciąg, który miał poczucie humoru, nagle ustał i wpadłam do ciemnego korytarza na kolanach; raz potrąciłam i przewróciłam mielcarza, który upadł, ale nawet padając trzymał lampę tak zręcznie, że jej nie rozbił. Potem, z wyciągniętą ręką, jakby oślaniając się przed burzą, wymacałam klamkę maszynowni, zapach oleju i konopi wchłonął mnie ciepło jak kąpiel, zamknęłam drzwi, namacałam klucz i przekręciłam go w zamku. Dopiero teraz zapaliłam świeczkę. Ogromne koło napędowe kreśliło w syrkim półmroku srebrne kręgi, napięte pasy transmisyjne lśniły i błyszczały od oleju. Dynama i silniki przypominały tłuste afrykańskie zwierzęta, maźnice z olejem — ptaki wydziobujące tym hipopotamom pasożyty. Rozbierałam się z wolna, odkręcając przy tym kurki z gorącą wodą, która spływała z ogromnego kotła do przepołowionej stuhektolitrowej beczki. Rozebrałam się i nasłuchiwałam, jak przeciąg świszczę poprzez piętra słodowni aż na górę do oczyszczalni i tam trzaska okiennicami. I wchodzę do tej wielkiej drewnianej wanny, woda jest zawsze tak gorąca, że muszę odkręcić kurek z zimną wodą, przysiadam i ukrop sprawia mi taki ból, że szczękam zębami, dopóki zimna woda nie przemiesza się z gorącą, kładę się wówczas, wyciągam się, leżę w tej przepołowionej beczce niczym strzałka w pudle kompasu, wpatruję się w belki nad sobą, gdzie niknie biały kocioł, i marzę, zaczynam marzyć, rozplątuję się z wolna w gorącej wodzie, jak płatki mydlane unoszą się w gorącej wodzie, rozluźniam wszystkie mięśnie, rozwiązuje wszystkie obrusy i prześcieradła, w które spowite było całe moje minione życie, otwieram wszystkie koszyki i kufry, i skrzynki, w których są obrazy tego, co stało się dawno, obrazy, które gotowe są w każdej chwili mnie nawiedzić, piękne, ale niekolorowe obrazy, które dopiero w tej kąpeli nabierają ostatecznych kształtów i wyrazistych barw. To moje kino, wyświetlany na ekranie moich zamkniętych oczu film, scenariusz i reżyserię, nakręciło moje życie, ja gram w nim główną rolę, ja, która dotarłam aż tu, do drewnianej wanny, w której leżę... Jestem małą dziewczynką ze słomianymi warkoczycami, gram w kamyczki pośrodku drogi, siedzę ze skrzyżowanymi nogami i rozrzucam znowu pięć kamyczków, aby wziąć jeden z nich, podrzucić go w górę, zgarnąć cztery pozostałe i zdążyć jeszcze złapać spadający pierwszy kamyczek, przybliżają się grzmoty, padam na plecy w tej chwili, kiedy rozrzuciłam tych pięć kamyczków, niebo przysłania cień i nade mną wznoszą się groźne paszcze i sprzączki, i lejce, przeskakują mnie kopyta, na których błyszczą podkowy, zamykam oczy, sypie się na mnie zaschłe błoto, grzmot przenosi się dalej, podnoszę się i widzę turkoczający wóz ciągnięty przez spłoszone konie, widzę błękitne niebo i z niego pochyla się nade mną głowa zatroskanego tatusia. Jestem małym dziewcząt-kciem, które na polnej steczce gra w kamyczki, tatuś wolał mnie zawsze zostawiać za domem, aby mi się nic nie stało, widzę, jak od lasu biegną dwaj żołnierze, widzę, że biegną polną ścieżką, na której się bawię, ci żołnierze biegną jak dwa spłoszone konie, kładę się na wznak, żeby mnie nie stratowali, widzę, jak ci żołnierze podskakują, widzę nad sobą podeszwy gęsto nabite gwoździami, cień żołnierzy przegrzmiał nade mną i tupot wojskowych butów dudnił i oddalał się polną ścieżką. Siadam i widzę, jak żołnierze biegną do potoku, zatrzymują się, zamiast kładki jest tam wisząca na łańcuchach belka, żołnierze podnoszą ramiona niczym aniołowie stróże z obrazka nad moim łóżeczkiem skrzydła i przebiegają na drugą stronę, i biegną dalej, na zakręcie po raz ostatni widzę ich podnoszące się lśniące gwoździe, teraz znikają w kępie lasu. Żołnierze dawno już zniknęli, a ja ciągle o nich myślę. Widzę teraz samą siebie, drepczę nad potok, stawiam buciczek na kłodzie, widzę wodę płynącą bystro w potoku, podnoszę ręce i biegnę po belce, ale pośrodku belka osuwa mi się spod nóg i wpadam do potoku; poruszałam nogami na głębinie jak mamusia szyjąc na maszynie, ale nie mogłam dosięgnąć dna, najpierw piłam wodę, ale później napiłam się tej wody dość, by się utopić, widziałam tylko, jak moje włosy rozsypały się i poruszały się na dnie

potoku wplatając się w zielone morszczyzny i wodne kwiaty bez kwiatów, strasznie mi się chciało spać, ale nie mogłam zamknąć oczu, i wszystko było pełne światła, a niebo nad sobą widziałam jak przez silnie powiększające okulary... a potem budzę się, widzę, że utopić się to bardzo piękna rzecz, tak jak być w domu; leżałam w niebie w takim samym łóżeczku, jakie miałam u siebie w pokoju, widziałam, że ręce mam na pierzynie, która jest w takiej samej poszwie z niezapominajkami jak pierzyny, jakie ma mamusia, a nade mną wisiał obrazek przedstawiający anioła stróża, zupełnie taki sam jak u nas, a potem przysła mamusia i powiedziała:

— No, chodźcie, dzieci, dalej...

I do kuchni weszły dziewczynki z sąsiedztwa, i teraz wiedziałam, że się utopiłam, bo dziewczynki, które zwracały się do mnie: Marychno, a ja do nich: Jadwisiu i Ewu-niu, i Bożenko, bo dziewczynki te kładły mi na pierzyn-ce obok rąk święte obrazki, tyle było na moim łóżeczku obrazków aniołów stróżów, i Jadwisia powiedziała:

— Mama mi mówiła, że się utopiłaś... — I położyła kolejny święty obrazek.

A ja spytałam:

— Dlaczego mi dajesz ten obrazek? ~ A Jadwisia odparła:

— Umarłym dziewczynkom wkłada się je do trumny...

I ja zaczęłam płakać, że teraz to już jestem zupełnie umarła, ale potem przysła moja mamusia, przyniosła słodycze, a zobaczywszy takie mnóstwo świętych obrazków, powiedziała:

— Ależ, dziewczynki, Marychna nie umarła, pan doktor Michałek wylał z niej wszystką wodę i swoim oddechem tchnął w nią ponownie życie...

Dziewczynki były zawiedzione, żałowały, że nie będzie pogrzebu, że nie umarłam, bo już widziały, jak będą szły w białych sukienkach z firanek, trzymając w rękach płonące ogromne świece ozdobione mirtem, i mosiężna orkiestra będzie tak rzewnie grać, i dziewczynki będą szły w kondukcje, i będą mieć ufryzowane włoski, i będą płakać, bo ja się utopiłam... no a teraz koniec z konduktem, koniec z płaczem, a wszystko to wina tych dwóch kobiet, które szły prać bieliznę i które mnie wyciągnęły i zaniósły do domu... tatuś się wtedy tak strasznie rozgniewał, ach, mój tatuś potrafił się gniewać i złościć jak nikt inny, mamusia kupowała co roku cztery szafy, stare sprzęty ze sklepów ze starzyzną, i kiedy tatuś się rozgniewał, mamusia natychmiast prowadziła tatusia do altany i dawała mu siekierę do ręki, a tatuś najpierw rozbijał tylną ścianę, potem rąbał i kłął resztki szafy, z ogromnym zapalem wrywał drzwi, wreszcie całą szafę miażdżył jak pudełko od zapalek i w ciągu pół godziny z tej szafy robił tatuś sag drewna, tak że mamusia miała zawsze dość trzasek na podpałkę i polan do palenia... a ja słyszałam, jak tatuś krzyczał i gniewał się, że się topiłam, że ciągle nie jestem grzeczną dziewczynką, bo grzeczne dziewczynki tego nie robią, przerażona, wysliznęłam się spod pierzynki, ubrałam się i wybiegłam na dwór, na dziedzińcu stało auto ciężarowe, wdrapałam się na skrzynię, tam koło okienka stała beczka, wsunęłam się do tej beczki, a że było w niej ciepło, usnęłam, kiedy się obudziłam, usłyszałam, że ten samochód ciężarowy jedzie, a kiedy podniosłam się, zobaczyłam przez okienko, że zapada zmrok, że tuż koło okienka znajduje się czapka jakiegoś pana, a kiedy popatrzyłam z boku, przekonałam się, że to pan Brabec, i wyciągnęłam rękę, i połaskotałam pana Brabca za uchem mówiąc:

— Panie Brabec, jestem tutaj...

Pan Brabec puścił kierownicę, potem krzyknął i samochód zatrzymał się tak gwałtownie, że ta beczka się przewróciła, a ja wytoczyłam się na podłogę, z podłogi na ziemię, wstałam z szosy, otrzepałam sukienkę, a pan Bra-bec biegał dookoła i krzyczał, i tupał...

— Panie Brabec, naprawdę tu jestem! — powiedziałam.

Ale pan Brabec jęczał, a potem zwał się na ziemię; kiedy przyjechali policjanci, nakryli pana Brabca kocem, ale i tego było mało, jeden z policjantów musiał się rozebrać bez mała do naga i leżał na panu Brabcu, i grzał go, na posterunku powiedział mi później jeden z policjantów, że mogłam stać się przyczyną śmierci człowieka, a ja pomyślałam o tatusiu, że znów porąbie jedną szafę, i policjant rozesłał mi kożuch na podłodze, potem wziął sznur i przywiązał mnie za nogę do nogi stołu, a ja leżałam i płakałam, nade mną kołysały się podeszwy gęsto nabijane gwoździemi,

noga założona na nogę, ja zaś za nogę uwiązana byłam do nogi stołu, a potem usnęłam i pojawił się nade mną tatuś, klęczał, oparty na obu rękach jak na nogach, odwiązał mnie od stołu, a kiedy wyciągnął mnie za rękę, policjanci tak na mnie naskarżyli, że tatuś wziął sznur i założył mi ten sznur na szyję, a ja rozplakałam się i wołałam:

— Tatusiu, ja nie chcę, żebyś mnie wieszał! Ja nie będę umierać tak długo na gałęzi...

Bo tatusiowi kot zjadł wątróbkę i tatuś powiesił za to kotka na gałęzi, i kotek umarł tam dopiero na drugi dzień... i tatuś zaprowadził mnie na sznurze do pociągu, a kiedy przyjechaliśmy do domu, tatuś prowadził mnie na sznurze jak cielątko, a wszystkim ludziom tłumaczył, że nie jestem grzeczną dziewczynką i że musi mnie prowadzić na sznurze jak złego psiaka... a w domu tatuś...mamusia, widząc tatusia, od razu podała mu siekierkę, czekałam, że tatuś obetnie mi głowę, tak jak odcinał indorom i indyczkom, ale tatuś od razu rzucił się na szafę, jednym ciosem rozwalił tylną ścianę, jednym uderzeniem swojego ciała, o tak, z boku, powalił resztę szafy, że cała runęła na ziemię, tak jak rozdeptana skrzynka... Namyd-lona, leżę cała w pianie, mydlę się nie wiedząc o tym wcale, myślę i wywołuję obrazy spoczywające w głębi czasu, obrazy powracające nieustannie, rozjaśniające się, uzupełniające... Jestem sześćioletnią dziewczuszką o rozpuszczonych włosach, na czubku głowy włosy te spięte są dwiema niebieskimi klamerkami w kształcie kokardek, już od roku tatuś nie roztrzaskał z mojego powodu ani jednej szafy, jest niedzielne południe i ja spaceruję po placu, w otwartych oknach powiewają firanki, rozlega się brzęk sztucców i talerzy, przeciąg przynosi zapach potraw, wczoraj tatuś mi kupił marynarski mundurek i parasolkę, stoję koło fontanny, a potem pochylałam się i patrzę na swoje odbijające się jak w lustrze włosy, na dnie lśnią monety, kto bowiem rzuci u nas do fontanny pieniążek, może liczyć na to, że spełni się jego życzenie, na wszelki wypadek rzuciłam do tej fontanny dwie dwudziestki życząc sobie, żebym się już nigdy więcej nie topiła, nigdy nie uciekała z domu, żebym już była grzeczną dziewczynką, zwłaszcza że tatuś kupił mi tak piękny mundurek i parasolkę, wspięłam się na otaczający fontannę murek, aby lepiej zobaczyć, czy mi do twarzy w tej marynarskiej bluzeczce, rozejrzałam się, nikt się nie zbliżał, nikt nie wyglądał z okna, aby poskarżyć na mnie tatusiowi, wspięłam się więc na fontannę, a kiedy pochylałam się, zobaczyłam piękną plisowaną spódniczkę i białe podkolanówki, i lakierowane pantofelki, potrząsnęłam włosami, a kiedy znowu popatrzyłam na swoje odbicie w wodzie, przechyliłam się i wpadłam do fontanny, i woda pożarła mnie jak wielka ryba, która połyka małą rybkę, znowu szukałam dna lakierowanym pantofelkiem, ale dno było głębiej, nie byłam dość duża, by go dosięgnąć, i wynurzyłam się znowu, aby zaczerpnąć powietrza, ale bałam się wzywać pomocy, bo tatuś by się gniewał, zachłystywałam się i znów zaczynał mnie otaczać jasny słodki świat, tak jakbym była pszczołą, która wpadła do miodu, widziałam, jak powoli głowa opada mi aż na dno, tuż koło oka dojrzałam tę dwudziestkę, którą wrzuciłam do fontanny z życzeniem, abym się już nigdy nie topiła, spódniczka wzdymała się tak wspaniale i włosy przestoniły mi twarz, a potem z wolna włosy te uroczyście wróciły na swoje miejsce i nagle zachciało mi się spać, i już tylko bardzo powoli poruszałam nogami, znacznie wolniej niż mamusia, kiedy szyje na maszynie, i w końcu zobaczyłam, jak z buzi unoszą mi się bąbelki, jakbym była butelką z wodą sodową lub mineralną... a jednak znów się nie utopiłam, widziała mnie pewna pani, pani Krasień-ska, która od dziesięciu lat jeździ na wózku i miała owrzodzenie żołądka, ona patrzyła przez okno właśnie w tej chwili, kiedy tam wpadłam, i przybiegł jeden jedyny fotograf, pan Pokorny, który z widelcem, nożem i serwetką pod brodą skoczył po mnie i wyciągnął mnie, przebudziłam się na stopniach fontanny, miałam wrażenie, że pada deszcz, i wzięłam parasolkę i otworzyłam ją, ale świeciło słońce i dzwon wydzwaniał południe, nade mną pochylał się pan Pokorny i z serwetki kapą mu woda, wraz z którą spłynęło kilka farfocli kapusty, pan Pokorny groził mi na przemian widelcem i nożem, że jeśli obiad mu wystygnie, to on mi wtedy pokaże, bo gruczne dziewczynki, jeśli już chcą się utopić, to robią to w odpowiedniej porze, a nie w samo południe, kiedy na stole pachnie smakowicie młoda gąska, a ja patrzyłam i we wszystkich oknach stali obywatele w koszulach i kamizelkach, i wszyscy w jednej ręce trzymali widelec, a w drugiej nóż, i wszyscy spoglądali na mnie, i mieli znudzone miny, i dawali do zrozumienia, że najchętniej nadziałiby mnie na widelec i poderżnęli nożem, a więc wstałam i wytrysnęło ze mnie tyle wody, aż myślałam, że to oberwanie chmury, kłaniałam się, nie żebym chciała z nich drwić, ale że przyznaję i wiem, iż nie powinnam była tego robić, kiedy w niedzielne południe młoda gąska znajduje się właśnie w brytfannie... A teraz leżę sobie w browarnianej wannie, w tej przepołowionej stuhektolitrowej beczce, ktoś idzie od stodoły na górę do izby czeladnej, gdzie mieszka także stryjaszek Pepi, i z tej izby czeladnej dobiega jego straszliwy

ryk: Do re mi fa soi la si do... a potem z kolei opadająca oktawa: Do si la soi fa mi re do, tak jak wypływa teraz woda z resztkami zakrzepłego mydła, ktoś idzie od stodoł w górę do izby czeladnej, chyba to idzie ten młody mielcarz mokry od potu i z siniakiem pod jednym okiem, jakby upadł na lunetę, siniakiem jakby odbitym pocztową pieczętką, to na pewno on, idzie teraz wolno z koszulą zarzuconą na ramiona i w jednej ręce niesie pękata lampę jak cesarz królewskie jabłko, a w drugiej ręce słodowniczą łopatę niczym królewskie berło, idzie na górę, odpoczywa na podeście i śpiewa tę słodką piosenkę:

Już odeszła ta miłość,
choć jej wiele nie było,
odeszła, odeszła daleko!
Moja złota dziewczyno,
i następne też miną,
i co później, co później cię czeka?
Nie zostanie nic po niej,
zniknie w głębokiej toni
pod Nymburkiem...

Ubrałam się szybko, zawiązałam włosy ręcznikiem, mocnym dmuchnięciem zgasłam świecę i wyszłam w ciemność z wyciągniętą dłonią, dopiero za zakrętem korytarza z głębi stodoł wyciekało słabe światło, żółtymi liniami znaczyło krawędzie mokrych schodów, ze stodoł rozlegało się melodyjne delikatne uderzenie słodowni-czych łopat o wilgotną podłogę, rytmiczne syczenie rozrzucanego jęczmienia... i znów ta piosenka jak przyплыw... jak morski przyплыw...

Już odeszła ta miłość, choć jej wiele nie było...

Przez chwilę stałam w półmroku, potem zesłam o kilka schodów niżej, ciepło kielkującego jęczmienia trzepnęło mnie po policzkach, dwie pękate lampy oświetlały zagony jęczmienia, lampy naftowe na drewnianych trójnogach pośród jęczmiennych pól, młody mielcarz, nagi do pasa, dreptał drobnymi kroczkami, nabierał na łopatę jęczmień z jednej strony i rozrzucał go po stronie drugiej zostawiając za sobą bruzdę, jakby ta pracująca drewniana szufla była stępką statku, która rozcina przed sobą fale, ale za sobą pozostawia już zamykającą się toń, ten młody piękny mielcarz przy każdym kroku rozrzucał łopatę złotego jęczmienia i po każdej tej łopacie jego plecy coraz bardziej lśniły od potu...

Już odeszła ta miłość, choć jej wiele nie było...

Męski głos nadal rozbrzmiewał pod niskim stropem stodoły, stropem wspartym na czterech alejach czarnych żelaznych kolumn... i oto ten młody mężczyzna wyprostował się jak król Jęczmionek, siniec pod jego okiem błysnął niczym oprawka okularów, jego tułów cały był powleczony lśniąca ręką potu... a ja nadal słyszałam tę piosenkę, ktoś inny śpiewał ten romans, ktoś, kto pracował o kilka zagonów jęczmienia dalej, tam gdzie stała na drewnianym trójnogu druga pękata lampa naftowa... młody mielcarz otarł sobie twarz całą dłonią i otrząsnął garść potu... szłam dalej, nogi ugiwały się pode mną, przesypywał tam jęczmień malutki człowieczek, wyglądał raczej na dżokeja na emeryturze, w kombinie i berecie, dokończył już jedną pryzmę, teraz wziął łopatę, podgarnął jęczmień na skraju, a potem znów te pospieszne mielczarskie kroczi, ten człowiek niemalże biegł i przesypywał podgarnięty jęczmień, i łopata zostawiała za sobą równusieńko nakreśloną linię. Skończywszy tę pracę i pochyliwszy się, aby niczym swój podpis odcisnąć w rogu skrzyżowane łopaty, malutki mielcarz wyprostował się i zaśpiewał pięknie:

... odeszła, odeszła daleko!
Moja złota dziewczyno,
i następne też miną,
i co później,
co później cię czeka...

Był to pan Jirout, mielcarzyk, który spotkawszy mnie kłaniał się z poczuciem winy i uśmiechał się ciągle, Fran-cin mówił o nim, że w latach młodości pan Jirout był artystą cyrkowym, którego na odpustach wystrzelili z armaty, w łoskocie werbli przyprowadzano go żywego w błękitnym ałłasowym ubranku, kładziono na drewnianej lawecie, po czym impresario przykładał dymiący błękitnie lont, rozlegał się ogłuszający huk i z lufy armaty wystrzelał płomień, a po nim żywy pan

Jirout z wyciągniętymi nad głową rękoma, który osiągnąwszy wierzchołek krzywej balistycznej rozkładał ręce i spadając na przygotowany batut rozrzucał kolorowe róże z papieru, uśmiechy i pocałunki. Po wylądowaniu podskakiwał, kołysał się na batucie i kłaniał się, i przyjmował owacje na każdym odpuście i na każdym jarmarku. Pewnego razu nabili panem Jiroutem armatę, a kiedy go wystrzelili i pan Jirout osiągnął wierzchołek krzywej balistycznej, rozłożył ręce i z wolna spadał w dół, spostrzegł, że dawno już minął batut, przypomniał sobie, że i to uderzenie w lawecie było silniejsze niż kiedykolwiek przedtem, pan Jirout mimo to uśmiechał się i rozdawał uśmiechy i kolorowe róże z papieru, i całusy, aby potem roztrzaskać się za płotem o sag drewna. Kiedy po roku doprowadzono pana Jirouta do porządku, nie chciał już rozdawać pocałunków i róż, wycofał się z życia cyrkowego niczym nieważny banknot, a kiedy do końca się wylizał, zaczął pracować w browarze, pracuje tu już osiem lat jako mielcarz...

Już odeszła ta miłość, ! choć jej wiele nie było...

Stryjaszek Pepi pracował już w browarze trzy tygodnie; bednarze przyjęli go między siebie i od tej pory było w browarze wesoło. Kiedy mogłam, brałam wiaderka na młóto i szłam przez dziedziniec browaru; pan piwowar spoglądał na mnie badawczo: czy ma przynieść podwójny kufel piwa; i teraz skinęłam głową twierdząco, i podczas gdy nabierałam z wozu młóto, bednarze zajadali drugie śniadanie, stryjaszek Pepi leżał na wznak z pustą dwudziestolitrową baryłką na piersiach, bednarze pękali ze śmiechu, krztusili się kęsami posmarowanych obficie pajd chleba, a stryjaszek Pepi śpiewał:

— Do re mi fa soi la si do!

Czeladnik bednarski klęczał nad stryjem i zachęcał:

— Panie Józefie, a teraz tę oktawę z powrotem, tak jak to ćwiczyli Caruso i Marzaczek.

A stryjaszek Pepi odkaszlnął i zakwicział straszliwie:

— Do si la soi fa mi re do...

Kiedy robotnicy mieli już dość tego ryku, pomocnik bednarski poprosił:

— A teraz, panie Józefie, proszę zaśpiewać wysokie ce!

Bednarze podnieśli się, pochylili się nad stryjaszkiem Pepi, który kwilił to wysokie ce, i bednarze ryczeli ze śmiechu, kładli się z grubo posmarowanymi pajdami na wznak, potem zrywali się i krztusili okruciami, i opierali się o ścianę warsztatu, i chichotali, aby nie udusić się ze śmiechu.

A pośrodku dziedzińca stary mielcarz pan Rzepa prażył słoń na ciemne piwo, siedział na krześle i wprawiał w ruch czarny bęben osadzony na wale napędowym, a pod tym bębniem płonął niebiesciutko i różowo, i czerwono węgiel drzewny, i stary mielcarz, siwowłosy i siwo-brody, jednostajnie i uroczyście obracał tę obrośniętą sadzami kulę niczym jaki bóg ze starego mitu kulę ziemską.

A pomocnik bednarski pochylił się nad stryjem i powiedział:

— A teraz jeszcze, jako ostatnie ćwiczenie oddechowe, niech pan, panie Józefie, zaśpiewa wysokie ce, ale do wewnątrz... tylko proszę uważać, aby nie nawalił pan w gacie, czyli nie zrobił z gaci bukietu!

I stryjaszek Pepi nabrał oddechu, skrzywił nos, bednarze pochylili się nad nim, a stryj śpiewał na wdechu to wysokie ce, taki przeciągły ton, jaki wydaje skrzypiąca furtka, nie oszczędzając się wcale, śpiewał to wysokie ce, wytrzymał minutę to śpiewanie na wdechu, ale tak go to wyczerpało, że rozrzucił ręce i oddychał głęboko, i baryłka na jego piersi unosiła się miarowo, podobnie w szkole muzycznej uczniowie leżą na dywanie na wznak, a profesor kładzie im na piersiach książki.

A ja szłam z wiaderkami młota obok otwartych drzwi kotłowni, w półmroku jarzyła się tam dolna półkula kotła, popielnik świecący szafranową barwą płonącego węgla na ruszcie, na rozjaśniony popielnik spadały płonące czerwono i fioletowo węgielki i zielonobłękitny żużel, a tuż obok w ciemności połyskiwał beżowo otwarty kocioł, robotnik, zwinięty jak dziecko w łonie matki, w tej zwiniętej pozycji obtłukiwał z kotła kamień, dwie żarówki oświetlały tego wygiętego w łuk robotnika, który pracował w pyle i jeszcze sobie przy tym śpiewał, spowity drutami przewodów elektrycznych

niczym pępowiną. Ilekroć stojąc w słońcu ujrzałam ten oświetlony jaskrawo owal i tego robotnika obtłukującego młotkiem kamień kawałek po kawałku, myślałam, że każdy przechodzący obok musi przystanąć zdumiony tym obrazem w lunecie, ale nikt się nigdy nie zatrzymywał, nikt go nie pożałował i nie pożałował sam siebie nawet ten, który przez całe dwa tygodnie obstukiwał w skulonej pozycji kamień; wprost przeciwnie: jeszcze sobie podśpiewywał!

Bednarze skończyli drugie śniadanie, mistrz bednarski stał jak pasterz wśród owiec; dookoła setki beczek, pochylił się nad jedną, patrzył badawczym wzrokiem, po czym wyprostował się i z wnętrza beczki wyciągnął płonąca świecę na zwiniętym drucie, i znów się pochylił nad kolejną beczką, i opuścił do jej środka świecę, i dociekliwym okiem przyglądał się, czy beczka może zostać napełniona piwem, czy trzeba ją „osmolic”, czyli posmarować smołą, stryjaszek Pepi stał przy ogromnym piecu i dokładał do ognia antracyt i koks, rozgrzewał smołę, ten piec dudnił już głucho i z krótkiego wygiętego komina buchał czerwony ogień z błękitną koronką na krawędziach, płomienie przystrojone tryskającymi zielonymi frędzelkami niczym płomień aparatu spawalniczego, którym rozmraża się zamrożone kolanka albo usuwa się stary lakier.

Furmani ładowali na wozy mokre beczki piwa, wynosili skrzynie z lodem. Pan piwowar podał mi garniec pomarańczowego piwa, garniec cały w kropłach osiadłej pary. A ja wiedziałam, że pan piwowar mnie nie lubi i że dałby mi nie jeden, ale pięć garnców piwa, a nawet więcej, bylebym tylko piła je i wypila i żeby robotnicy zobaczyli, jaką to skłoną do pijaństwa żonę ma pan kierownik, ale ja byłam młoda i młoda byłam przede wszystkim, bez względu na to, co robiłam, zawsze pytałam tylko samą siebie i zawsze przytakiwałam sobie, i było to moje przytaknięcie, ta wskazówka mojego nauczyciela, który znajdował się we mnie gdzieś koło serca, to przytaknięcie natychmiast przenikało do krwi, i moja ręka wyciągnęła się i piłam z ochotą, z taką ochotą, że furmani przestali układać beczki jedne na drugich i patrzyli na mnie. Stałam obok rampy, z dala od koni, Ede i Karę jakby porozumiewały się ze mną, ich grzywy i potężne ogony miały również kolor złotego piwa. A stary Rzepa pośrodku browarnianego dziedzińca wyciągnął wał napędowy, ze znanstwem popatrzył na zawartość prażonego słodu i kiwnął głową, pociągnął za uchwyt i wyciągnął tę czarną kulę na mechanizmie poza płonące węgle, odbezpieczył ostrożnie młoteczką zasuwkę i gorący prażony sód zaczął się sypać na czarne sito, i zapach słodu rozprzestrzenił się wokół, na pewno teraz dotarł już na plac i przechodnie obracają się w stronę browaru, gdzie na środku dziedzińca stary mielczarz mruczy z zadowoleniem i drewnianym czarnym pogrzebaczem miesza prażony sód.

A stryjaszek Pepi stał przy smolarskim piecu i uśmiechał się do mnie, miał skórzany fartuch, piec za nim huczał i rozpalony groził, że wzbije się w powietrze niczym jakaś fantastyczna rakietka z powieści Verne'a. Ten płomień, który wystrzelał nad stryjaszkiem Pepi, był tak piękny, że rozejrzałam się, ale nikt nie podziwiał tego wspaniałego widoku. I podszedł mistrz bednarski, i zaczął po legarze staczać beczki do nóg stryjaszka Pepi, a stryjaszek Pepi brał każdą beczkę, podrzucał ją sobie na kolano i wkładał na igłę, naciskał nożną dźwignię i do beczki tryskała wrząca smoła, i stryjaszek Pepi podnosił beczkę, i płynnym ruchem opuszczał ją na ziemię, i beczka odtaczała się z wolna, a z otworu do jej napełniania wypływał błękitniutki dym i owijał beczkę niebieskawą wstążką, tak jak rabin, kiedy okręca sobie ręce świętymi rzemykami, a kiedy beczka zatrzymywała się na dole, pomocnik bednarski brał ją albo kopniakiem nadawał jej kierunek i beczka osiadała na obracającym się z wolna wale wytaczarki, jedna beczka obok drugiej, wszystkie beczki obracały się teraz i niebiesciutki dym otaczał je niczym aureola unosząca się nad głowami świętych mężów. Patrzyłam i jak zawsze, kiedy patrzę na pracę z ogniem, ogarniało mnie pragnienie, język przylepił mi się do podniebienia i zamiast śliny miałam w ustach tylko takie papierosowe bibułki, uniosłam garniec i przestraszyłam się, garniec niemal podskoczył do góry, myślałam, że jest jeszcze ciężki od piwa, ale okazał się bardzo leciutki, bo piwo już wypilałam, pan piwowar przykucnął i wziął ode mnie garniec, zaśmiał się i wszedł do komory piwnej, wiedziałam, że należy mi piwa jednym ciurkiem, że wypełni garniec aż po brzegi, być może do połowy należy wystającego piwa i dopełni ciemnym „granatem”, takie mieszane piwo to coś, co wywołuje pochwalne mruczenie całego ciała, belgijskie wałachy smagały jasnymi jak jęczmień ogonami i rżały, furman wszedł do komory piwnej, niósł dwa blaszane garnce i każdemu wałachowi podał jeden, wzięły te blaszanki w zęby, napięły uzdy i zaczęły pić, w miarę jak piły, unosiły głowy coraz wyżej, aby wlało się w nie piwo aż do ostatniej kropli, a kiedy wypily do końca, odrzuciły garnce i rżały radośnie, i grzebały kopytami, tak że spod podków tryskały ledwie dostrzegalne iskry, furman śmiał się i skinął

mi głową, i ja skinęłam głową, i konie skinęły łbami, pan piwowar znów przysiadł i podał mi z rampy pełen garniec, powąchałam pianę i skinęłam głową, a stryjaszek 'Pepi zaczął śpiewać:

Ach, wy lipy, aaaaach, wy liiipy...

Pomocnik bednarski wołał:

— Czy zdaje pan sobie sprawę, panie Józefie, co to będzie za aplauz, kiedy zaśpiewa pan arię Przemysława w Teatrze Narodowym?

A stryjaszek Pepi kiwał głową, wkładał beczki na przyrząd powlekający je wrzącą smołą i łyż kapąły mu na skórzany fartuch.

Pomocnik bednarski ciągnął:

— Ręcę panu, że jak będzie się miała odbyć ta premiera, to z samego browaru pojedzie do Pragi cały autobus, tylko musi się pan uczyć, szkolić głos... Teraz panu zamiast „szczeniaczka” będziemy stawiać na piersi pięć-dziesięciolitrową beczkę...

— Może być stulitrowa albo nawet dwustulitrowa, bylebym tylko osiągnął to, co Caruso i Marzaczek... — krzyczał stryjaszek Pepi.

— Ach, to ci mateczka! — powiedziała już do garnca, a potem nawąchawszy się, z wolna powstrzymując pragnienie włania w siebie całej zawartości kufła, poma-lutku i słodko tykałam ten jasny „leżak”, to jasne wystale piwo, zmieszane z ciemnym „granatem”, tę mateczkę, jak nazywali to mielcarze, piłam powolutku i delikatnie, zupełnie tak samo jak w lecie przed zmierzchem tam gdzie za browarem, na miedzy pośród żyta, ktoś siaduje i słodko gra na trąbce rzewną piosenkę ot tak, dla siebie tylko, z zamkniętymi oczyma i z drzeniem i dygotem błyszczącego instrumentu w mosiężnych rękach, ot tak sobie, o wieczornej porze, z głową lekko odchyloną do tyłu, sam dla siebie gra tęskną piosenkę.

Pomocnik bednarski potrząsał ręką nad głową.

— A wie pan, panie Józefie, kto będzie siedział w łoży? Pański brat i pańska szwagierka, pan burmistrz Jandak, ten, co chodzi do baru kontrolować, czy panienki mają wedle przepisu zgrabne i mocne łydki... Szkoda tylko, że tej uroczystej chwili nie doczekali się pańscy rodzice, mamusia i tatuś! To by dopiero była radość!

I stryjaszek Pepi rozplakał się, ocierał łyż fartuchem i kiwał głową, a pomocnik bednarski ciągnął bezlitośnie:

— A po przedstawieniu dziewczyny rzucałyby panu, panie Józefie, kwiaty pod nogi, dziennikarze pytaliby: „Skąd u pana, mistrzu, ten talent?”. I co by pan, panie Józefie, im odpowiedział?

— Ze to dar boży! — krzyknął stryjaszek Pepi i zakrył twarz obu dłońmi, i płakał, a beczki na wytaczarce kręciły się i z każdej beczki przez otwór do napełniania wyciekała nadal delikatna ślina, która na skutek rotacji tworzyła wokół każdej beczki sprężynującą niebiesciutką obręcz, fioletowy krąg, neonowy naszyjnik.

Pomocnik bednarski mówił nadal uroczyście:

— I wtedy musiałyby pan powiedzieć dziennikarzom, że głos panu ustawił austriacki kapitan von Mel-dik, ten, co to śpiewał za młodu w wiedeńskiej operze, ten, co...

Ale pomocnik bednarski nie zdołał dokończyć, bo stryj ryknął potrząsając obu rękoma nad głową:

— A gówno! Cesarz nie wzięłyby do opery kioskarza, a jeśli już, to do wychodka, ale i to nie! No, poczekaj, Meldiku, jak będę przechodził koło twojego kiosku, to dam ci takiego haka przez okienko.

Pomocnik bednarski zdjął beczkę i przytrzymał: dym ogarniał piersi bednarza i spowijał jego twarz, a bednarz wołał:

— Tylko że Meldik powiedział, że jak cię zobaczy, to będzie miał przygotowany pieprz, i jak się pochylisz, to sygnie ci tym pieprzem w oczy, i powiedział jeszcze...

— Co powiedział, co?! — wrzeszczał stryjaszek Pepi.

— Pan Meldik wybiegnie po prostu i będzie mógł z tobą zrobić, co mu się spodoba. I dodał, że kopniakami pogoni cię aż do browaru — odważył się powiedzieć pomocnik bednarski.

— Co takiego? Mnie, żołnierza austriackiego, którego chciano mianować podoficerem i który się na to nie zgodził, mnie, który nosiłem kapitanowi szablę? To się jeszcze okaże! Bo jak ja podejść do kiosku, to go od razu zrzucę z mostu do Łaby! — krzyczał stryjek podnosząc beczkę, podrzucił ją kolanem i wkładając ją na igłę maźnicy nie trafił w otwór do napełniania, ale obok; stryjaszek Pepi nacisnął nożną dźwignię, a ja odłożyłam garniec, postawiłam go na rampie i otarłam usta, i najpierw myślałam, że po tym wystąpił piwie zmieszany z ciemnym „granatem” mam widzenie: pomocnik bednarski i mistrz, i przechodzący obok mechanik, i stary Rzepa, który kręcił wałem napędowym z nową porcją słod, wszyscy zaczęli tańczyć, podskakiwali, chwytały się za twarze i uderzali się po nogach, że wyglądało to tak, jakby się morawscy Słowacy puścili w tany, ale stary Rzepa nie mógł się ruszyć od korby, więc obracał wałem, a przy tym chwytał się za twarz i na przemian uderzał ręką, a drugą ręką obracał czarną kulę — bęben, w którym prażył się sól, i dopiero teraz pociągnął za korbę i odsunął bęben poza żar zachłannego węgla drzewnego, i tak samo jak bednarze podskakiwał, uderzał się w łydki, jakby gryzło go tysiące komarów.

Pomocnik bednarski krzyczał:

— Niech pan zrobi coś z tą smołą, panie Józefie!

A stryjaszek Pepi naciskał, ale ciągle obok, dopiero teraz udało mu się nacisnąć nożną dźwignię i dopiero teraz zobaczyłam, jak tryskające z igły na wszystkie strony drobniutkie kropelki gorącej smoły zwiędły i wszystkie cieniutkie bursztynowe gałązki, po których rozpryskiwały się te kropelki drobne jak kasza, jak złoty ryż, jak dokuczliwe owady, wszystkie te witki opadły naraz w proch i pył browarnianego dziedzińca i bednarze odlepiali sobie z twarzy i wierzchu dłoni zasychające drobiny żywicy, i gniewnie spoglądali na stryjaszka Pepi, który stał obok tego ogromnego pieca, gdzie ciągle huczał i buchał, i trzeszczał w wygiętym kominie gruby i krótki ogień. Stryjaszek Pepi poruszał poparzonymi palcami i wpatrywał się w ziemię.

Mistrz bednarski powiedział:

— A więc, chłopcy, do roboty, żeby pan Józef mógł wkrótce pójść na dziewczynki.

Ta moda zaczęła się w hotelu „Na Książęcym”. Żołnierze przynieśli jakieś aparaty, dyrektorzy szkół już o godzinie szóstej rano zgromadzili młodzież szkolną, przyłączyły się też wszystkie korporacje i w miarę jak płynął czas, do wielkiej sali garnęły się tłumy gapiów, żołnierze każdemu obywatelowi zakładali na ucho taką słuchawkę jak przy telefonie i w tej słuchawce rozległy się trzaski, a potem odezwała się orkiestra dęta wygrywająca nieustannie „Kolinie, Kolinie...”, ale muzyka ta wcale nie była piękna, jakby ją nagrano na dawno już zdartej płycie, jednakże ta orkiestra grała w Pradze i melodia płynąc przez powietrze — bez drutów — niczym nitka nawlekała się w uszko słuchawki aż tu, w naszym miasteczku. I każdy, kto to usłyszał, wychodził tylnym wejściem i był absolutnie oszołomiony tym słyszeniem, tym, że nie ma drutu, który by przynosił tę kוליńską kapelę pana dyrygenta Kmocha, i każdy tak kroczył wzdłuż kolejki obywateli, kolejki, która ciągnęła się przez cały plac aż do głównej ulicy i dalej do piekarni pana Swobody, a kto jeszcze tego radia nie słyszał, ten widząc, z jakim błogim i zdumionym wyrazem twarzy wychodzą ci, którym dane już było zaznajomić się z rewolucyjnym wynalazkiem, cieszył się wraz ze wszystkimi coraz bardziej, w miarę jak zbliżał się w tłumie, który wchodził do hotelu „Na Książęcym”.

Pan Kniżek, właściciel sklepu z galanterią, który lubił przemawiać, natychmiast polecił ekspedientce, aby przyniosła drabinę, wspiał się na nią i wyjaśniał współobywatelom:

— Dobrzy ludzie, to, co za chwilę usłyszycie, to wynalazek, o który walczyć będzie nasza partia przemysłu-wo-rzemieślnicza, aby w każdym domu, w każdej rodzinie za rok lub dwa lata znalazł się taki aparat, i to za możliwie niską cenę, aby każdy mógł w domu słuchać nie tylko muzyki, ale i wiadomości. Nie chcę wybiegać w przyszłość, jednakże wynalazek ten może sprawić, że będziemy słuchać wiadomości nie tylko z Pragi, lecz być może i z Berna na Morawach, muzyki być może nawet z Pilzna, a gdybym był nieskromny, powiedziałbym, że muzyki i wiadomości z Wiednia! — wołał pan Kniżek z drabiny.

A obok tej drabiny przechodził ze swoim wózkiem i pomocnikiem pan Zalaba, który rozwoził po mieście węgiel i drewno, i jak usłyszał pana Kniżka, musiał wraz z pomocnikiem przechylić wózek i pan Zalaba wybiegł po szprychach na szczyt wózka, i zagrzmiał wskazując pana Kniżka:

— Spójrzcie no na niego, na tego mieszczucha! Myśli tylko o swojej sklepikarskiej wadze! Obywatele, ten oto wynalazek zdolny jest doprowadzić do porozumienia nie tylko pomiędzy miastami, ale i pomiędzy narodami, my witamy radio jako sojusznika całej ludzkości! Porozumienie między ludźmi wszystkich kontynentów, wszystkich ras, wszystkich narodów! — wołał pan Zalaba trzymając rękę w górze, a jego pomocnik stał na dyszlu wózka, kiedy jednak spostrzegł na chodniku rzucony przez kogoś niedopałek, nie wytrzymał i podbiegł, aby go podnieść, oczywiście wózek przechylił się i pan Zalaba spadł na bruk, ledwie udało mi się odskoczyć.

I natychmiast jak tylko usłyszałam w słuchawce tę skróconą odległość między orkiestrą dętą w Pradze a swoim uchem w hotelu „Na Książęcym”, popędziłam na rowerze do domu, zdjęłam spódnicę, położyłam ją na stole, wzięłam nożyczki i w tym miejscu, gdzie w spódniczce są kolana, odciąłam pas materiału, tyle tego sukna zostało, że powiedziałam sobie, że moja krawcowa uszyje mi z tego kawałka boalerko, i bez zwłoki wzięłam igłę i sfastrygowałam dół spódnicy, i niemal jak w gorączce włożyłam ją, i od razu weszłam w lustro, i tam to zobaczyłam! To skrócenie odmłodziło mnie o dziesięć lat, okręciłam się i wiedziałam od razu, że podwiązki muszą być znacznie wyżej, i wiedziałam już z całą pewnością, że dopiero teraz moje nogi są piękne, że te cudowne cienie w ścięgnach pod kolanami, te brązowe ślady palca bożego będą zdolne wywołać wielkie zdziwienie i wielki zachwyt, ale także wielkie oburzenie obywateli, a przede wszystkim Francina, który — kiedy mnie tak zobaczy — zaczerwieni się po korzonki włosów i oświadczy, że przyzwoita kobieta takich spódnic nie nosi. I wybiegłam na dziedziniec, wskoczyłam na rower i wyjechałam z browaru w stronę kapliczki, taki przyjemny powiew chłodził mi kolana, sięgał podwiązek, pedałowano mi się znacznie swobodniej w tej obciętej spódnicy, przeszkadzało mi tylko to, że musiałam prowadzić jedną ręką, bo tą drugą trzeba było ciągle obciążać spódnicę, która podnosiła się przy każdym ruchu kolana, z drogi od Horzawki wyjechał teraz pan Kropaczek na indyjskim, pan Kropaczek jak zawsze siedział w przyczepie i prowadził motocykl jedną nogą położoną na kierownicy, jedną zaś ręką operował manetką gazu na końcu kierownicy, lubiłam na to patrzeć: ruszał z browaru, a jak tylko wyjechał, przelał natychmiast z siedzenia do przyczepy, wyciągał nogę jak z wanny i tak wygodnie jechał do domu, tak więc pan Kropaczek, zapatrzony w zakręcie w moje nagie kolana, nie zdołał wyprowadzić pojazdu i wpadł do młodego sadu czereśniowego, a ja dostrzegłam w tym dobrą wróżbę i pędziłam przez most, i zwolniłam dopiero koło hotelu „Na Książęcym”, z wolna przejeżdżałam obok tej kolejki czekającej na wynalazek, o którym pan kierownik szkoły Kupka oświadczył: ‘:,’

— No, nie wiem, nie wiem, ale wydaje mi się, że ten aparat nie przyniesie ludziom szczęścia.

A wszyscy ludzie jakby przestali cieszyć się na myśl o tym, co czeka ich w hotelu „Na Książęcym”, i skupili uwagę na moich kolanach, na tej mojej skróconej spódnicy, wszyscy przestali wpatrywać się w wejście do hotelu i obracali się za mną, pan kierownik Kupka wskazał mnie parasolem i powiedział do księdza dziekana:

— I oto widzi ksiądz proboszcz pierwsze skutki! Jednakże ksiądz dziekan uklonił mi się i powiedział:

— Pełne kobiece kolano to drugie imię Ducha Świętego!

Zatrzymałam się przed cukiernią, zanim postawiłam buczeczek na bruku, uniosłam włosy, aby nie dostały mi się w szprychy, oparłam rower o mur i idąc trotuarem miałam wrażenie, że mam na sobie tylko kostium kąpielowy.

W cukierni poprosiłam, aby pan Nawratil zapakował mi cztery rurki z kremem, a jedną od razu wzięłam do ręki, pochyliłam się do przodu, aby francuskie ciasto nie spadało mi na bluzeczkę, i jak tylko włożyłam rurkę z kremem do ust, natychmiast usłyszałam głos Francina, że przyzwoita kobieta tak rurek z kremem nie je, a pan Nawratil uśmiechał się ostrożnie, bo nie miał zębów, stałam na tle wystawy, aby kobiety z głębi ciemnego sklepu widziały moją sylwetkę, a pan Nawratil podał mi paczuszkę przewiazaną niebieskim sznureczkiem, zapłaciłam, pan Nawratil otworzył mi drzwi i zanim ruszyłam, pomógł mi przytrzymując włosy, biegł kawałek ze mną, dopóki włosów nie uniosł prąd powietrza, pedałowalam ile sił w nogach, jedną ręką kierowałam, a na palcu drugiej trzymałam

tę słodką paczuszkę, włosy za mną unosiły się, tak jak unoszą się te piękne mosiężne kule regulatora lo-komobili parowej, kiedy zwiększa obroty. Pozornie patrzyłam na środek drogi, ale po obu stronach widziałam na chodnikach wszystkie rodzaje oczu, i te oczy pełne podziwu, i te spojrzenia tryskające nienawiścią, utkwione w moich nagich kolanach unoszących się na przemian jak przeguby wałów mimośrodowych...

A kiedy przyjechałam do browaru, od razu skierowałam się aż do chlewów, wybiegł mi naprzeciw Mucek, ten dobry piesek, merdał długim ogonkiem, a kiedy pochyliłam się nad nim, lizał mi dłoń i przymykał oczy; weszłam do drewnutni i przyniosłam siekierkę, rozpakowałam paczuszkę i poczęstowałam Mucka rurką z kremem, a on najpierw nie wierzył, ale kiedy wybuchnęłam śmiechem, zaczął jeść tę rurkę z kremem, ja zaś zastanawiałam się w duchu, o ile powinnam Muckowi skrócić ogon, i postawiłam za Muckiem pieniek, i ujęłam ogon Mucka, i położyłam go na pieńku, ale Mucek obrócił się, a więc pogłaskałam go i poczęstowałam jeszcze jedną rurką z kremem, Mucek, z pyskiem umorusanym bitą śmietaną, polizał mi rękę wraz z drzewcem siekierki i zaczął zajadać drugą rurkę z kremem, a ja poprawiłam ogon Mucka na pieńku i za jednym zamachem odciąłam tę dłuższą część, Mucek zachłysnął się, pół rurki z kremem miał już w sobie, ale ten ból w ogonie był widać tak wielki, że Mucek zaczął wyć i kręcić się wokół i pyskiem pełnym słodkiej piany chwycił się za kikut ogonka, z którego ciekła krew, Mucek myślał, że zrobił mu to ktoś inny, nie ja, i na przemian lizał moją rękę i tę swoją resztkę ogona, głaskałam go i pocieszałam:

— To nie potrwa długo, Mucusiu, ale będzie za to z ciebie piękniś nie lada... To sprawa mody, musi tak być, spójrz tylko! , :- ,

Wyprostowałam się i pokazałam, że i ja mam skróconą spódniczkę, ale Mucek zaczął straszliwie lamentować, a ja wiedziałam, że ucięłam mu tego ogonka za mało, że powinnam była uciąć jeszcze kawałeczek, Mucek jednak nie chciał już nawet o tym skracaniu słyszeć, przytrzymałam mu ogonek na pieńku, obiecywałam mu wszystkie rurki z kremem i że kupię mu tych rurek z kremem jeszcze więcej, Mucek jednak wyrwał mi się, chwycił w pyszczek ten ucięty szczątek ogona i pobiegł z nim w stronę biura, a kiedy furmani wychodzili, wśliznął się do kancelarii.

I za chwilę wybiegł z biura Francin, w jednej ręce trzymał pióro ze stalówką redis numer trzy, a w drugiej resztkę ogona, Mucek zaś stał na ostatnim stopniu i szczekał w kierunku chlewów i drewnutni, skąd prowadziłam rower, a kiedy dojechałam przed biuro, do browaru wjechał pan doktor Gruntorad. Ogier pana prezesa miał już ogon przystrzyżony i przystrzyżoną grzywę, pan doktor zeskoczył z kozła, rzucił lejce stangretowi i wpatrując się w moją spódnicę oświadczył:

— Wszystko się będzie skracać i na razie końca tego nie widać. Tak, panie kierowniku, będziemy skracać czas pracy, od przyszłego miesiąca sobota skróci się o połowę, tak że pracować się będzie do godziny dwunastej. Odległości pomiędzy szynkarzami skrócimy w ten sposób, że będziemy do nich jeździli. Tego pańskiego oriona sprzedamy i kupimy automobil, który skróci czas i dzięki temu stworzy warunki większego zbytu piwa. Iwanie! — krzyknął pan doktor Gruntorad na stangreta. — Proszę mi podać moją walizeczkę! Przyłożymy pieskowi plaster i powstrzymamy krwawienie.

Tego popołudnia Francin pojechał na orionie do Pragi. Skorzystałam z tego i po pracy wstąpiłam do izby czeladnej, aby odwiedzić stryjaszka Pepi. Pod palącą się żarówką stryjaszek Pepi podnosił rękę na ogromnego mielcarza, który klęczał na kolanach i klęcząc był akurat tak wysoki jak stojący stryjaszek Pepi, stryj jednak miał groźną minę i ryczał:

— A. jeśli nie zdołam się opanować? A jeśli przyrżnę panu jeszcze jednego ostrawskiego?

A ogromny mielcarz składał ręce i błagał:

— Panie Józefie, niech pan nie robi z mojej żony wdowy, niech pan nie robi sierot z moich dzieci!

I mielcarze stojący kręgiem śmiali się cichutko, ci, co nie mogli wytrzymać, wybiegali na korytarz i tam stojąc z czołami przy ścianie tłukli pięściami w tynk i dusili się ze śmiechu. I wyparskawszy się, wbiegali z powrotem do izby czeladnej.

Stryjaszek Pepi stał na szeroko rozstawionych nogach pod żarówką i krzyczał:

— No to teraz spróbujemy się! I rzucił się na potężnego mielcarza, który poddał się, i stryjaszek Pepi zastosował chwyt nelsona, po czym usiłował położyć mielcarza na łopatki, ale mielcarz napiął

mięśnie i powalił stryja, i przygniótł go swoim ciałem, i wszyscy wokół krzyczeli i klaskali, ale stryjaszek Pepi chwycił mielcarza za szyję i ten mielcarz dał się niemal położyć na łopatki, w ostatniej jednak chwili ukląkł i stryj założył mu podwójnego nelsona, i mielcarz wyprostował się, i chodząc ze stryjem po izbie, nosił stryjaszka niczym dzieciątko, stryjaszek Pepi jednak krzyczał zachwycony:

— I odniosę wspaniałe zwycięstwo jak Fryszteński!

Po czym mielcarz ponownie ukląkł i wywinął wraz ze stryjem koziołka, teraz dopiero zauważyłam, że obaj zapaśnicy mają na sobie białe kalesony, długie aż po kostki i w kostkach zawiązane na troczki. Fiknąwszy koziołka ogromny słodownik przygniótł stryjaszka Pepi, leżał mu na głowie, lecz stryj i tak krzyczał:

— Proszę się poddać! Nie ma pan szans! Trzymam pana mocno!

Ale ogromny mielcarz wyprostował się, chwycił stryjaszka Pepi za kostki i za kark, zakręcił nim, po czym upadł wraz z nim, mimo to stryjaszek Pepi ryczał:

— Alem panem rzucił, jak Fryszteński Murzynem!

A potem mielcarz osłabł i stryjaszek Pepi wziął go za ramiona, i mielcarz nie mógł już dłużej powstrzymać śmiechu, i śmiał się, i łzy mu ciekły, stryj zaś kładł go na łopatki, a pan piwowar ukląkł i oznajmił:

— I znów pan zwyciężył, panie Józefie! Zapaśnicy wstali, stryj kłaniał się i uśmiechał, kłaniał się tłumom, które tylko on sam widział wokół siebie.

— Jutro odbędzie się pojedynek rewanżowy — powiedział pan piwowar i ukrył twarz w garncu.

— Stryciu Józefku — powiedziałam — chodź na chwilę do nas i weź ze sobą piłę, dobrze?

A stryjaszek Pepi oddychał ciężko i kiwał głową, po czym odrzucił koc ze swojej pryczy, całą swoją bieliznę i wszystkie ubrania miał w nogach, teraz odsunął poduszkę, przetłuszczoną w miejscu, gdzie spoczywała głowa, a pod tą poduszką miał najrozmaitsze pudełeczka i szpulki nici, i mnóstwo innych dziwnych i niepotrzebnych drobiazgów, tam stryj znalazł klucz, otworzył szafę i wyciągnął z niej papierową torbę, na której było napisane: Alojzy Szyszler, kapelusznik i kuśnierz, i z tej torbki wyjął piękną białą czapkę marynarską ze złotymi sznurami i złoto wyszytym emblematem: Yiribus Unitis.

— Uszył mi ją ojczulek Szyszler. Komu innemu by takiej nie uszył, a mnie uszył!

Powiedziawszy to włożył na głowę tę piękną białą czapkę marynarską i tak stał w gaciach na tle rozbebe-szonego łóżka ze skopaną bielizną i ubraniami w nogach, a w głowach — ze skrzynką dziwnych niepotrzebnych rzeczy.

— Stryciu Józefku — powiedziałam — masz takie piękne łóżko, uszyję ci na nie bieliznę pościelową, dobrze?

— Jak chcesz — odrzekł stryjaszek i zaczął się szybko ubierać.

A mielcarze stali i siedzieli, wpatrywali się w podłogę i nie umieli mi nic powiedzieć, wydawało się nawet, że żalowali, że zjawiałam się w połowie tej zabawy ze stryja-szkiem Pepi, że to była ich zabawa i że nie ma w niej dla mnie miejsca, że między mną a nimi jest różnica jak między tą izbą czeladną, gdzie ich śpi ośmiu na kupie, a moimi trzema pokojami z kuchnią, gdzie śpimy ja i Francin, kierownik browaru, który może zostanie nawet dyrektorem, podczas gdy oni będą zawsze tylko mielcarzami, aż do emerytury, aż do śmierci. Stryjaszek Pepi zamknął szafę i rozplątał się ze szczęścia nad tą czapką, jaką nosi tylko kapitan marynarki albo pierwszy oficer.

— Dobranoc panom — powiedziałam i wyszłam z izby czeladnej.

Nim przebrnęliśmy przez wicherę na rogu słodowni, żarówki na rogach browaru i chlewów zaczęły słabnąć, jakby ten przeciąg wywiał z nich prąd elektryczny. Czapka stryjka błyszczała jak mleczny klosz lampy naftowej i stryj musiał oburącz mocno tę czapkę trzymać, aby mu jej to wicherzenie nie wyrwało. W/dawało mi się nawet, że stryjaszek Pepi już, już zaczyna się unosić w powietrze jak

kiedyś mój kąpielowy ręcznik frotte... i wiedziałam niechybnie, że stryj by się swojej czapki nie wyrzekł, że raczej odleciałby z nią zygzakiem w górę, w mrok, ku browarnianym kominom i obracającym się chorągiewkom. A kiedy zapaliłam lampy, a stryjcio przyniósł od mistrza bednarskiego piłę, kładłam na ziemię krzesła i skracaliśmy ze stryjaszkiem nogi krzesłom, nie o wiele, ale o dziesięć centymetrów, które za każdym razem odmierzałam krawieckim metrem. Kiedy położyliśmy stół na boku, stryjaszek Pepi powiedział:

— Wiesz co, szwagierko? Co będziemy tu ciągle z tym metrem? Odetniemy jedną nogę, a potem ten odcięty klocek będziemy przykładać po kolei do następnych nóg i tak będziemy rznąć, a nie mierzyć!

Roześmiałam się.

— Ty, stryjaszku Pepi, tyś powinien pracować w policji, taki jesteś sprytny!
Ale stryjaszek Pepi zaczął krzyżeć:

— Ach, dajże spokój z policją! Stryj Adolf służył u nich ni mniej, ni więcej tylko miesiąc, od razu zabrali go w pościg za takim jednym draniem... otoczyli zabudowania, a kiedy weszli do kuchni, zastali tam tylko babę... zwierzchnik detektywów pyta: „A gdzie wasz stary?”. A ona powiedziała, że poszedł pnie karczować... a ten główny detektyw kopnął w drzwi do pokoju i zobaczył przez otwarte okno, jak ten drań biegnie z boczem, rozkazał więc: „Naprzód!”. Adolf pierwszy wyskoczył przez okno i wpadł aż po szyję w gnojówkę, ale wygrzebał się z niej i z rewolwerem pomknął do lasu, tam tego drania otoczyli, ale on także miał broń, więc namawiali go, żeby rzucił rewolwer, ten zaś drań z kolei mówił, że jak zrobią choćby jeden krok, to zastrzelą się na ich oczach, no i główny detektyw przez całą godzinę przekonywał tego drania, że uznają to za okoliczność łagodzącą i że on sam zapewnia go, że nie dostanie więcej niż pół roku, i w końcu ten drań broń rzucił, i główny detektyw z dumą założył mu kajdanki, i zaprowadzili go do autobusu, Adolf także chciał wsiąść do policyjnego auta, ale powiedzieli mu, że tak z tej gnojówki nie można, więc szedł piechotą aż do rogatek Ostrawy, ale tam wyrzucili go z tramwaju, musiał więc iść pieszo do samego domu, ale w domu gospodyni nie chciała mu wyprać tego ubrania, wobec tego musiał je odnieść do pralni, tam dano mu kwitek, a kiedy po dwóch tygodniach przyszedł po to ubranie, a było tam sporo ludzi i wiele znajomych panienek, i kiedy przyszła na niego kolej, to kierowniczką wzięła od Adolfa kwitek, i kiedy wróciła, była czerwona i rzuciła Adolfowi ten tłumoczek z powrotem i krzyknęła: „Skoro się pan obesrał, to niech pan sam sobie to wypierze”. I stryj Adolf ze wstydem wrócił do domu...

Stryjcio opowiadał, ja uśmiechałam się i rznąliśmy według przepisu stryjaszka Pepi nogi od stołu, skracaliśmy je o dziesięć centymetrów, a stryjaszek Pepi opowiadał:

— Bo ten Adolf to w ogóle miał pecha, raz szedł koło gospody, a tam bawili się pijani dentyści, którzy zaprosili Adolfa na jednego, a kiedy napił się z nimi i cieszył się, że ludzie znów go lubią, ni stąd, ni zowąd jeden z dentystów z pijaństwa wyrwał drugiemu dentyście przednie zęby, a że Adolf także był zalany, to ten, któremu wyrwali przednie zęby, wyrwał Adolfowi wszystkie tylne zęby... i tak Adolf miał ogromne szczęście, że w tej gospodzie spili się wówczas dentyści, a nie konowały...

— To by musiało cholernie boleć — powiedziała i przyłożyłam odcięty klocek do ostatniej nogi i rznąliśmy wesoło dalej, a stryjaszek Pepi mówił:

— Ale potem wzięto Adolfa na ćwiczenia wojskowe i służył aż gdzieś w Turczańskim Świętym Marcinie, a tam, jako że stryjcio Adolf był z zawodu maszynistą, dano mu walec parowy, a taki jeden, tuz, plutonowy, wyczytał z gazety wojskowej w dziale ogłoszeń, że w Chebie mają walcować drogę przed koszarami, dał więc Adolfowi rozkaz i diety i stryjcio Adolf kierując się mapą wyruszył na tym walcu parowym do Chebu, a było to na wiosnę i Adolf przez samą tylko Słowację jechał całe lato, jesienią przekroczył granice Moraw, a im dalej, tym jechał wolniej, bo na niedzielę wybierał się do domu, a skoro już tak przez całą jesień jechał przez Morawy, to po kryjomu udał się po wskazówki do koszar w Turczańskim Świętym Marcinie, ale tam mu powiedziano, że ten plutonowy się powiesił, bo znalazł na placu armatę i nikt nie wiedział, kto ją tam postawił, więc zamknięto ją w magazynie, gdzie okazało się, że to armata nadprogramowa, musiał więc Adolf jechać tym walcem parowym w poprzek Czechosłowacji, już na wiosnę dojechał do Pilzna, a że nie miał węgla, musiał palić drewnem, które wyżebrał, ale spalił też wielu ludziom płoty, a to wtedy, kiedy było daleko do

lasu, i miał w końcu stryjaszek Adolf ogromne spóźnienie, jako że właściwie jechał tym walcem parowym tylko przez jeden dzień w tygodniu, bo trzy dni mu zabierała podróż do domu w Ostrawie, a trzy dni jechał do tego swojego walca parowego, dopiero w lecie dotarł stryj Adolf do Chebu, do jednostki, i tam zamknięto obu: i ten walec parowy, i Adolfa, a kiedy sprawa się wyjaśniła, stryja przeniesiono na zamek Koszumberk jako wartownika, a że nie miał dokąd jeździć, to się z nudów zakochał w córce przewodnika po zamku i później się z nią ożenił, i ciągle tam stał z karabinem jako wartownik, ale po trzech latach doszedł do wniosku, że chyba o nim zapomniano, wobec czego zdjął mundur, karabin postawił w kącie i do dziś dnia jest tam przewodnikiem...

Stryjaszek Pepi wyprostował się i ostatni klocek odpadł. .

Wzięłam lampę i postawiłam ją na kredensie, aby zobaczyć, jak będzie wyglądać ten stół skrócony o dziesięć centymetrów. A kiedy postawiliśmy ten przewrócony na bok stół, zdumiałam się i zaćmiło mi się w oczach. Poszłam do kuchni, stałam tam chwilę na progu i poprzez korony sadu owocowego patrzyłam na komin browaru, dopiero potem wróciłam do pokoju. Stryjaszek Pepi kręcił młynka paluszkami.

— Co można poradzić? Nic nie można poradzić, stryjcium Józefku — powiedziałam i poleciłam: — Przynieś tu z biblioteki dzieła zebrane Benesza Trzebizskie-go, dobrze?

I postawiłam stół, stół, z którego wraz ze stryjaszkiem Pepi obcinaliśmy w półmroku cztery razy po dziesięć centymetrów, ale przykładaliśmy ten dziesięciocentymetrowy klocek ciągle do tej samej nogi, tak że skróciliśmy jedną nogę o czterdzieści centymetrów... i stryjaszek Pepi przyniósł dzieła zebrane, i ułożyłam je pod brakującą nogą, ale i tego wciąż było za mało, musiałam więc to uzupełnić Parnasją Szmilovskiego.

Z oddali rozległ się warkot i brzęczenie, to Francin na orionie wyjechał z lasu koło Zwierzynka, i ten łoskot i hałas nasilały się nieustannie, jakby Francin pchał przed sobą wszystkie części oriona. Wybiegłam przed biuro i otworzyłam bramę, Francin wjechał do browaru, na przyczepie kołysał się ten mały nożny przyrząd — tokarka, którą Francin zawsze zabierał ze sobą udając się w dalsze wojaże, a teraz motocykl skręcił aż pod nasze drzwi i Francin uniósł okulary, i zdjął skórzany hełm, i ręką dawał mi znaki, abym natychmiast szła do domu, a ja wiedziałam już, że przywiózł mi upominek. Wbiegłam do kuchni, a Francin włókł się z czymś za mną przez korytarz biura do pokoju, przez chwilę coś tam robił, a potem wszedł do kuchni i zacierał ręce, i uśmiechał się, pogłaskał stryjaszka Pepi po ramieniu, a ja rzuciłam się na Francina i tak jak to mieliśmy we zwyczaju, zaczęłam sprawdzać wszystkie kieszenie w jego spodniach i kurtce, a Francin śmiał się i był przemily, tak że aż cierpiałam całą na myśl, co się za tym może kryć. A potem powiedziałam:

- Tym razem to nie będzie pierścionek ani żadne kolczyki, ani zegarek, ani broszka, ale coś większego, prawda?

A Francin rozebrał się i mył ręce, i kiwał głową, a kiedy wycierał sobie ręce, wskazałam drzwi pokoju i spytałam:

— To jest tam?

Francin przytaknął, że to jest tam... i naumyślnie zwlekał z ubieraniem się, i naumyślnie udawał, że musi jeszcze wyczyścić buty, musiałam mu zagrozić, że wtargnę do pokoju, że już nie wytrzymam, wtedy Francin podniósł palec, poprosił mnie, żebym zamknęła oczy, i zaprowadził mnie do pokoju, i kazał mi chwilę stać, a potem usłyszałam muzykę i jakiś tenor zaczął pięknie śpiewać:

Księżyc nad Tahiti
złotym blaskiem lśni, „
mała słodka Kitty
o swym szczęściu śni...

Otworzyłam oczy, odwróciłam się, Francin stał trzymając płonąca lampę i oświetlał nią gramofon walizkowy, potem postawił lampę na stole i poprosił mnie o taniec, ujął mnie w pasie, drugą ręką ścisnął moją rękę w swojej dłoni, teraz Francin pilnie nasłuchiwał i nagle długim krokiem wszedł w...

Księżyc w toń się stoczył:

srebrem lśni na dnie,

otrzyj, Kitty, oczy
i uśmiechnij się...

I Francin, zdziwiłam się, bo był raczej kiepskim tancerzem, wszedł w rytm tanga tak znakomicie, że przylgnęłam do niego, a on śmiało wsunął swoją nogę pomiędzy moje nogi, wcisnęliśmy się w siebie tak, że musiałam się odsunąć, aby się lepiej Francinowi przyjrzeć, po czym położyłam głowę na jego ramieniu, nastąpiła jednak zmiana w tańcu i Francin stracił rytm, poczekał chwilę, a kiedy zamierzał tańczyć nadal tango do tyłu, zaczął się cofać wprawdzie właściwie, ale poza rytmem, i ogarnął go niepokój, ale kiedy zmarnował prawie cały taniec i doczekał się tych pierwszych trzech kroków, znów uchwycił rytm i płynął cudownie po dywanie, i wolał się już nie obracać, nie chciał tańczyć obok mnie, tylko długimi krokami, jakby buty grzęzły mu w gorącym asfalcie, tańczył z jednego końca pokoju w drugi, aby tam obrócić się niezręcznie, i znów posuwał się w rytmie, ale mimo to nie zdołał się oprzeć, aby nie spróbować znów obrotu, wysunął się przede mnie i patrzył na swoje kroki na dywanie, widziałam, że kroki te są właściwe, ale że Francinowi brak rzeczy najważniejszej: rytmu. Usiłował nawet tań-106

czyć z tak zwanymi figurami, przemknęło mi przez myśl, że na pewno chodził w Pradze na jakieś lekcje tańca, bo i te figury wychodziły mu znakomicie, przegiął mnie, tak że prawie dotykałam włosami dywanu, ale kiedy mnie znówu nadział na siebie, było to także dobre, poza tym, że ciągle nitkę tanecznych kroków nawlekał obok uszka muzyki... i piękny tenor przestał śpiewać, i muzyka dogorywała cicho... i Francin przestał się uśmiechać, i niemal runął na krzesło, i to, że tango mu nie wychodziło, ta świadomość pozbawiła go oddechu, bo na ostatnim balu maskowym tańczyłam z młodym Kleczką, warzelnianym z browaru, który pięknie grał na wiolonczeli i skończył cztery klasy gimnazjum i który umiał tak tańczyć, a ja tak się z nim dobrałam, że tancerze przestali tańczyć i otoczyli nas, a my dwoje tańczyliśmy jak para artystów cyrkowych, jak dwie sprzężone osie, w absolutnej harmonii, podczas gdy Francin samotnie siedział za kolumną i wpatrywał się w posadzkę.

— Z panną Włastą u Hawerdów — powiedział stryja-szek Pepi — także tańczymy w ten sposób, tylko trochę inaczej, szybciej, Włastą nalewa mi martela, a potem pyta: „No, panie Józefie, co mam panu zagrać?”. A ja na to: „Niech mi pani zagra coś szybkiego!”. A Włastą mówi: „A co?”. Więc jej powiadam: „Coś kompozytora Bundy, zwanego Gobelinkiem...”. Czy mogę panią prosić, szwagierko? Francinie, nastaw to trochę szybciej! I patrz, jak należy tańczyć!

Stryjaszek Pepi wziął mnie za ręce i muzyka dżezowa zaczęła grać tak szybko — bo Francin przesunął dźwigienkę zmiany szybkości — jak biegają kobiety w przyspieszonym filmie. I stryjaszek Pepi zaczął mi się kłamać, a ja mu się też kłaniałam. Potem dotknął mnie czołem, a ja jego również, nagle stryjaszek obrócił się w takt muzyki i ciągle trzymając się za ręce odwróciliśmy się i staliśmy do siebie plecami, a stryjaszek podniósł nogę i kręcił, i poruszał trzewikiem i łydką, potem rozrzucił ręce, klasnął w dłonie i obracał rękoma tak szybko, jakby nawijał pospiesznie jakąś welnę, potem ujął się w pasie i wyrzucał przed siebie nogi, tak że musiałam robić to samo, tylko w odwrotnym kierunku, aby mnie nie kopnął w kostkę, po czym odwrócił się i ujął mnie wpół, i smyrgnął pod sufit, tak że włosami dotknęłam tynku, i stryjaszek w rytmie muzyki nosił mnie tam i z powrotem, z nosem utkwionym w moim brzuszku, i znów mnie puścił, obrócił mnie i dotykaliśmy się plecami, i stryjaszek zarzucił mnie na ramiona jak plecak, ja również zahaczyłam się o jego ramiona i kołysaliśmy jedno drugie, jakbyśmy próbowali nastawić zwichnięty kręgosłup, po czym stryjaszek mnie puścił, obiegnął mnie wokół rytmicznym klusem i zaczął robić przeciwko mnie wypady, tak jak to robi czerwieny walet z dragiem, naśladowałam go i taniec był precyzyjny i nieobliczalny, ciągle jednak rytmiczny, jakby ruch znacznie dokładniej odpowiadał muzyce niż jakikolwiek taniec, a potem stryjaszek podskoczył i rozłożył nogi, i spadł na dywan, i zrobił szpagat, a ja się bałam, że mogłabym się rozedrzeć w pachwinach, i tylko kłaniałam się na prawo i na lewo, podczas gdy stryjaszek na przemian pochylał się to nad lewym czubkiem buta, to nad prawym, a potem nagle jakby zaczęło wsysać go w sufit, podskoczył, złożył nogi i wciągnął mnie tak szybko na ramię, przerzucił i znów postawił na ziemi, że obcasikiem pantofelka zrobiłam smugę na suficie, Francin patrzył na mnie i uśmiechał się, po czym poszedł do kuchni, skąd wrócił trzymając w jednej ręce garnuszek z letnią białą kawą, a w drugiej kromkę suchego chleba, którą pogryzał, i patrzył na nas, ale przyspieszone tango cichło, tenor przestał śpiewać...

Księżyc w toń się stoczył, srebrem lśni na dnie, otrzyj, Kitty, oczy i uśmiechnij się...

Odprowadzając mnie na miejsce, stryjaszek Pepi pocałował mnie w rękę i podtrzymał moje ramię, i kłaniał się głęboko na wszystkie strony, kłaniał się jakiejś wielkiej sali i posyłał całusy w róg pokoju... Kiedy przechodziłam obok stołu, stąpnęłam na klocek, który obcieliśmy ze stołowej nogi, i zwichnęłam sobie nogę w kostce...

— Jesteś leżącą odłogiem harmonią, braciszku — powiedział Francin.

A ja upadłam z krzykiem i już się nie podniosłam.

Tej nocy Mucek oszalał. Dozorca musiał go już wieczorem uwiązać na łańcuchu w drewnitni i tam Mucek nie zdołał znaleźć związku pomiędzy rurką z kremem a tym bólem w ogonku, i nie chciał już zostać adonisem zgodnie z wymaganiami ostatniej mody, zaczął więc straszliwie wyć i piana pojawiła mu się na pysku, piana szaleństwa pomieszana z pianą rurek z kremem, i Francin musiał o północy nabić browning, a potem wyszedł na podwórze, skąd po chwili usłyszałam strzelaninę, jeden strzał za drugim, dowlokłam się do okna i zobaczyłam w świetle latarki Mucka: napinał łańcuch, stał na tylnych łapach i prosił przednimi, że zgadza się już ze skróconym ogonem, że jest ze wszystkim pogodzony, tylko niech jego pancio już do niego nie strzela, a Francin wystrzelał cały magazynek, Mucek jednak wciąż jeszcze nie upadł, wprost przeciwnie, był bardziej wzruszający niż kiedykolwiek przedtem, ciągle stał na tylnych łapach i przebierał przednimi, a ja to wszystko uważałam za grzech śmiertelny, jakiego dopuściłam się na Mucku, i doczoł-galam się na otomanę, i rozplakałam się, i zatykałam sobie uszy przed strzelaniną jak przed wyrzutami sumienia... Tymczasem strzelanina ucichła i Mucek pewnie już nie żył, jednakże na pewno do ostatniej chwili merdał nie istniejącym ogonkiem, bo jako zwierzę z pewnością nie mógł i nie potrafił zrozumieć, jak mogliśmy mu sprawić ten ból właśnie my: ja i jego pancio. Wróciwszy z podwórza z browningiem, Francin, tak jak stał, ubrany, zwałił się na łóżko i wydawało mi się, że on również płacze.

Teraz miał mnie Francin taką, jaką pragnął mnie mieć: przyzwoitą żonę siedzącą w domu, kobietę, o której wiedział, gdzie jest, gdzie będzie jutro, gdzie pragnąłby ją mieć zawsze, nie bardzo chorą, ale jakby chorą, żonę, która może dowlec się do pieca, do krzesła, do stołu, ale przede wszystkim żonę, która jest ciężarem, bo szczyt małżeńskiego współżycia Francin widział w tym, że jestem mu wdzięczna, że przygotowuje mi rano śniadanie, w południe pojedzie motocyklem do restauracji po obiad, a wszystko po to, by mi pokazać, jak mnie kocha, z jaką radością się mną opiekuje i w ten sposób daje do zrozumienia, że tak jak on stara się o mnie, tak i ja powinnam się starać o niego, to było marzenie Francina, abym co roku chorowała na anginy i grypy, abym niekiedy miała nawet zapalenie płuc. Wtedy zawsze tracił z radości głowę, nikt nigdy nie mógł dbać tak o człowieka, jak dbał o mnie Francin, to była jego religia, niebo na ziemi, kiedy mógł mnie owijać w prześcieradła zmoczone w chłodnej wodzie, kiedy biegał z prześcieradłem dokoła mnie i tak je na mnie nawijał, jakby mnie za życia balsamował, potem jednak brał mnie na ręce i ostrożnie kładł do łóżka, tak jak dziewczynki układają lalki. I co godzina wybiegał z biura, aby mi zmierzyć temperaturę, co dwie godziny zmieniał mi okłady i w duchu zapewne się modlił, nie żeby sobie tego życzył, ale gdyby los nie mógł zrządzić inaczej, to żebym już nie wstała, żebym była jego niemowlęciem, które potrzebuje go tak, jak on potrzebuje mnie. A kiedy byłam rekonwalescentką i próbowałam znów chodzić, kiedy zaczynałam znowu śmiać się z całego serca i znowu zaczynała we mnie zwyciężać ta nieprzyzwoita kobieta, Francin ponownie zamykał się w sobie i marzył o tym, że jestem kaleką, a on wozi mnie w fotelu na kółkach, wieczorem czyta mi „Politykę Narodową” albo jakąś powieść i w ten sposób rekompensuje sobie ten swój kompleks wynikający z mojego drapieżnego zdrowia, z mojej witalności, która uwielbiała przypadek i nieprzewidziane zdarzenia, i zdumiewające spotkania, podczas gdy Francin kochał porządek i ład, powtarzalność wskazywała mu właściwą drogę, wszystko, co dało się przewidzieć i załatwić, wszystko to było życiem Francina, światem, w który wierzył i bez którego nie potrafił żyć.

A teraz miał mnie w łóżku, z kostką w gipsie, w olśniewająco białym gipsowym opatrunku, unieruchomioną na długo, a jeśli już nawet poruszającą się, to o kulach, a potem o lasce, i to teraz, kiedy Józefina Baker tańczy charlestona!

I chyba ta moja kostka przyszła w porę, bo Francin, kiedy biegałam, nie mógł ułożyć ani jednego sloganu, zapisał tyle arkuszy papieru piórem ze stalówką redis numer trzy i cała ta reklama, mająca na celu zwiększenie sprzedaży piwa, kończyła w piecu. A teraz, kiedy moja biała noga spoczywała na poduszce, Francin przemierzał kuchnię i pokój, pił letnią kawę, przegryzając suchym chlebem, i

nagle zatrzymał się z garnuszkiem w ręku, jakby się pogrążył w marzeniu, a nawet jakby miał widzenie, z którego wychylał się, odstawił garnuszek, siadał i piórem ze stalówką redis numer trzy wypisywał kaligraficznie reklamy dla gospod, i skończywszy pisać brał pinezkę i przypinał ten arkusik do ściany, abym go widziała i abym domyśliła się, że gdybym była zdrowa i zachowywała się tak, jak zachowuję się jako chora, to wtedy on zostałby w krótkim czasie mianowany dyrektorem browaru, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, takim zapalem do pracy i życia napelnia go mój kaleki ruch. W ciągu tygodnia Francin wypił — bo to dodawało mu natchnienia — jeszcze z pewnością pół hektolitra letniej białej kawy i na całej ścianie rozwiesił wypisane piórem ze stalówką redis numer trzy i opracowane graficznie slogany:

WIĘCEJ PIWA — MNIEJ TROSK I ZGRYZOT!
NASZE PIWO
WZMACNIA NADWERĘŻONE ZDROWIE!
KIEDY CZŁOWIEK NIE PIŁ,
CZUŁ SIĘ NIENAJLEPIEJ!
NAPIŁ SIĘ PIWECZKA,
KRAŚNY JAK DZIEWECZKA!

GDYBY NIE TO PIWO,
SCZEZŁBYM JAKO ŻYWO!

JEŚLI ZDROWIE MASZ NIETĘGIE,
PIJŻE PIWO NA POTĘGĘ!
IM WIĘCEJ PIWECZKA, TYM WIĘCEJ ZDRÓWECZKA!
ŚWIEŻOŚĆ, SIŁĘ, ZDROWIE - W PIWIE ZNAJDZIE CZŁOWIEK!
KTO CHCE WESÓŁ BYĆ, MUSI PIWO PIĆ!
KTO DO NAS PRZYCHODZI, DWA RAZY SIĘ RODZI!
NASZE DOBRE PIWO NAPÓJ DLA KAŻDEGO!
LEPIEJ NAM SIĘ BĘDZIE ŻYĆ, JEŚLI WIĘCEJ PIWA PIĆ!
KTO DO GOSPOD NIE CHADZA,
NIE JE I NIE PIJE,
WŁASNE ZDROWIE ZDRADZA!
W DOMU, W PODRÓŻY
— WSZĘDZIE TYLKO ORZEŻWIAJĄCE PIWO!
PIWO O KAŻDEJ PORZE
SIŁ I ZDROWIA PRZYSPOrzy!

I tak się tym natchnieniem cieszył, że nalał sobie pełny garnuszek kawy, nastawił gramofon...

Księżyc nad Tahiti

złotym blaskiem lśni...

I próbował płynnymi krokami tańczyć tango, i tak był pełen optymizmu, i tak cieszył się jakimś wydarzeniem, które miało wkrótce nadejść, że zamykał się w swoim pokoju i tam nieustannie grał ten swój „Księżyc nad Tahiti”, co chwila wychodził z podręcznikiem tańców nowoczesnych i śmiał się, a kiedy już się nacieszył, wracał do pokoju, dziurka od klucza świeciła w półmroku tak jak moja noga w gipsie, a ja wiedziałam, że Francin narysował sobie kredą te kroki, te ślady nóg, nie tylko kroki podstawowe, ale także kroki do tyłu, te obroty, całą trasę narysowanych kredą obrysów jego podeszew, po których stapał cierpliwie w takt i w rytm melodii „Księżyc nad Tahiti”. Tak się cieszył, że mu te kroki wychodzą, że i we dnie, kiedy spoglądałam przez okno na podwórze, a Francin szedł pospiesznie do warzelni, aby coś załatwić, nagle zwalniał kroku i szedł w rytmie tanga, obracał się i kroczył tyłem, i z rękoma lekko uniesionymi tańczył dalej ten nowoczesny taniec, widziałam, jak patrzy na swoje nogi, jaki jest bezradny, i wiedziałam, że gdyby to było możliwe, namalowałaby te kroki na drodze, ale to go nie zniechęcało, wprost przeciwnie, tym gorliwiej usiłował wieczorem znaleźć na porysowanym kredą dywanie szparkę, przez którą wśliznąłby się w rytm gramofonu, grającego już po raz setny „Księżyc nad Tahiti”. Co wieczór Francin wyjmował z motocykla marki orion akumulator, przynosił go i włączał prądy o wysokiej częstotliwości, walizeczka wybita czerwonym aksamitem pośniewała blado szklanymi instrumentami i Francin puszczał mi iskry na

kostkę, fulguracyjne błyskawice przenikały przez gipsowy opatrunek, potem zdejmował ze mnie jedną po drugiej części garderoby, tak że nawet nie zdążyłam sobie uświadomić, że jestem niemal całkiem naga, te prądy fulguracyjne robiły mi dobrze, wałeczek masujący wzmacniał drobnymi iskierkami obie moje nogi i przydawał sił nerwom w plecach, a Francin szeptał:

— Oto, Mary, najlepszy sposób, by spotęgować twoją urodę, konserwować prądami fulguracyjnymi tę urodę, którą cię Bóg obdarzył...

Co wieczór cieszyłam się na myśl o fioletowych masażach, pachnących błyskawicą i krótkim spięciem, zza sadu słysząc znów było piękny męski głos; pan Jirout w atlasowym ubranku sam się swoim głosem wystrzelił z armaty, przez ściany widziałam, jak leci nad browarem, ma wyciągnięte przed siebie ręce i uśmiecha się niepewnie...

Już odeszła ta miłość, ,
choć jej wiele nie było,
odeszła, odeszła daleko!
Moja złota dziewczyno,
i następne też miną...

Teraz pan Jirout zaczynał nachylać się w locie ku ziemi, rozłożył ręce i rzucał widzom róże i pocałunki, Francin włożył mi do ręki metalową elektrodę i czarnym guziczkiem włączył przyrząd, i niczym hipnotyzer unosił dłoń nad moim ciałem, i gdzie znalazła się ręka Francina, tam z tej dłoni tryskały i trzaskały iskry, padał deszcz fioletowych ziaren, poprzez dłoń Francina przenikało we mnie z przyrządu tysiące niezapominajek i fiołków, zapach ozonu i błyskawicy, która smagnęła dom, unosił się nade mną, tylko otulona gipsem kostka polśniewała niebiesciuchnym odblaskiem...

Nie zostanie nic po niej, zniknie w głębokiej toni pod Nymburkiem...

I pan Jirout spadł na elastyczną trampolinę, i odbijał się od batutu, i kłaniał się w niebiesciutkim atlasowym ubranku... czułam, że i moje ciało tchnie ostrym zapachem prądu elektrycznego, oddychałam coraz to głębiej i głębiej, całe moje ciało otaczała aureola, patrzyłam w lustro: leżałam wyciągnięta, fioletowe trzeszczenie i szelest były jedynym moim strojem, nigdy nie miałam wrażenia, że jestem naga, nieustannie spowita byłam jaskrawozielonym płaszczem, kauczukowy kołnierzyk i białe mankiety Francina świeciły tak jak moja gipsowa noga, oddychał głęboko jak ja, leżąca na wznak, z oczyma przysłoniętymi zgiętą w łokciu ręką, ten obrzęd o wysokiej częstotliwości sprawiał, że robiło mi się słabo, nigdy o tym z Francinem nie rozmawialiśmy, przygotowywaliśmy się w milczeniu, jakbyśmy oboje zamierzali dopuścić się rzeczy zakazanych, a kiedy Francin przesunął z powrotem czarny guziczek, każde z nas patrzyło gdzie indziej, takie to było piękne. Gdyby ktoś nagle wtargnął do pokoju i wyniósł lampę, Francin na pewno by zemdłał, dlatego wołał zamykać drzwi, opuszczać żaluzje i zasłaniać firanki i na wszelki wypadek wychodził na dwór, spoglądał na okna, czy aby ktoś nie może do nas zajrzeć i zobaczyć, jak drżącymi palcami rozpina mi bluzeczkę, ostrożnie ściąga spódnicę przez gipsową kostkę, jak kłęczący przede mną i za pomocą kosmetycznego masażu zdobywa wszechświat.

Dzisiaj przyjechał pan doktor Gruntorad, poprosił, żebym mu zaparzyła mocnej herbaty, bo przeziębził się w nocy u tych swoich położnic, wyjął z torby nożyczki, a kiedy przecinał mi gipsowy opatrunek, kilkakrotnie kichnął, a potem podczas tego przecinania usnął z nożyczkami w palcach, i spał bardzo głęboko, nie potrafiłam się powstrzymać i wyciągnęłam mu z kieszonki kamizelki złoty zegarek, spojrzałam, która godzina, i znów cichutko wsunęłam zegarek z powrotem, ostrożnie, niezwykle podniecona precyzją swoich ruchów, i znów w tej próbie kradzieży byłam cała ja, zegar na ścianie wskazywał, która godzina, jednakże ja chciałam wypróbować samą siebie, czy nie straciłam do końca odwagi, czy jeszcze zdolna jestem zrobić to, co mi właśnie przyszło do głowy, i rzeczywiście, jeszcze ze mną nie było tak źle, chodziłam do sklepu galanteryjnego pana Pollaka kupować guziki tylko dlatego, że po południu nikogo nie było w sklepie, i kiedy pan Pollak schylał się pod ladę po pudełko, wyciągałam rękę nad ladą i brałam jeden niechodzący dziecinny zegarek, a kiedy pan Pollak prostował się, patrzyłam niewinnym wzrokiem czytając w jego oczach, że nic o tej kradzieży nie wie, i kiedy poprosiłam o inne guziki i pan Pollak znowu się pochylał, szybko wieszałam ten zegarek na miejscu, a kiedy pan Pollak prostował się, to uśmiechałam się, tak jakoś rosłam we własnych oczach, tak jakoś mnie ta kradzież i natychmiastowy a skuteczny żal krzepiły, oddychałam z ulgą i wychodząc ze sklepu miałam wrażenie, że wyrosły mi ogromne skrzydła, że

zaczepiam nimi o futryny i sypią się za mną pióra, które pan Pollak przyklęknawszy zmiata na szufelkę... Pan doktor Gruntorad kichnął i obudził się, i przeciął do końca opatrunek, który otworzył się jak biały futerał, potem doktor obmacał mi kostkę i oświadczył:

— Już może pani znowu figlować...

Kichnął, a ja wzięłam kule i przyniosłam garnuszek herbaty, a kiedy chciałam stanąć na nodze, noga ugięła mi się.

— Ależ to wcale nie jest moja noga! — powiedziałam. A pan doktor Gruntorad na to:

— To pani noga, za tydzień będzie pani znowu ha... Apsik! — kichnął głośno.

— Panie doktorze — poskarżyłam się — mam także pewne trudności z oddychaniem.

— Proszę zdjąć bluzeczkę — polecił pan doktor i napił się herbaty, potem przyłożył mi ucho do pleców, jak zawsze ucho miał zimne, jakby mi przyłożył szklaną popielniczkę, im cieplej było na dworze, tym chłodniejsze było jego ucho, opukiwał mi plecy, prosił, abym oddychała głęboko, a potem jego palec wskazujący stukał w moje plecy, uchem dotykał lekko moich pleców, jak chłopcy nasłuchujący z uchem przy słupie telegraficznym, przerzuciłam do tyłu sploty włosów i pan doktor usnął ponownie, przysypiany moimi włosami, tak jakby usnął na ławeczce pod wierzbą płaczącą, raz umyślnie jechałam obok willi pana doktora Gruntorada tylko dlatego, żeby zobaczyć, czy jest tam naprawdę ta wierzba ocieniająca cały dom, ileż to już wody upłynęło od czasu, kiedy do jego żony przyjeżdżał na koniu oberst z Brandejsa, pan doktor Gruntorad, wtedy młody i na pewno odważny i dzielny, nieoczekiwanie wrócił w nocy do domu, na parterze zdjął fuzję ze ściany i kopniakiem otworzył drzwi do sypialni swojej żony, zdążył jeszcze zobaczyć pana obersta, jak biegnie do otwartego okna na pierwszym piętrze, pan doktor zdołał odciągnąć kurki i kiedy pan oberst z plaśnięciem odbił się od ramy okiennej i głową w dół skoczył w toń nocy, i dalej, w krzaki przekwitające-go bzu, pan doktor Gruntorad zdążył jeszcze naszpikować śrutem nękane buty z cholewami, drugi zaś nabój pomknął ku gwiazdom błękitnej nocy, która wypełniała okienne ramy... obraz ten budził mnie często w nocy i nie pozwalał mi spać, nigdy nie potrafiłam sobie wyobrazić i połączyć tego pięknego zdarzenia z panem doktorem Gruntoradem, ciągle łączyłam je z kimś innym, zupełnie odmienny soczysty obraz natomiast połączył mnie z panem oberstem, który z przestrzeloną cholewką zdołał jeszcze wspiąć się na konia, zdążył wyciągnąć zza cholewy wierzbową witkę, zdążył pochylić się z konia do samej ziemi i wetknąć tę witkę w ziemię, tę witkę, z której wyrosła wierzba tak dziś ogromna, że podczas burzliwej i wietrznej nocy puka w szyby okien całego domu niczym żywe wspomnienie. A pan doktor Gruntorad nadal opukiwał mi palcem wskazującym plecy, może nawet nie zdawał sobie już sprawy z tego, że usnął, pukał jak zasypani górnicy, a kiedy odwrócił się, tyknął herbaty i podczas gdy ja się ubierałam, wypisywał mi cicho receptę, i znowu jego złote wieczne pióro zatrzymało się nagle, pan doktor Gruntorad usnął na kilka sekund, aby się obudzić i — pokrzepiony — dopisać do końca receptę na lekarstwa na moje piersi.

— Panie doktorze, czy mój mąż pochwalił się panu, co mi kupił? — spytałam.

— Niech pani pokaże! — polecił pan doktor i napił się herbaty. Otworzyłam stojącą na stoliku walizeczkę.

— A to co za szmelc? Gdzież on to kupił? — spytał pan doktor.

— W Pradze — odparłam. — Ale pan ma katar, tu jest taki piękny przyrząd, to coś niby „bory szumią na urwiskach...”

— Zna się pani na tym? — spytał pan doktor.

— To nic trudnego, panie doktorze — powiedziałam i wsunęłam wtyczkę w kontakt, i obróciłam czarny guziczek, i włożyłam rurkę z pędzelkiem na nerwy, i z pędzelka tryskały fioletowe opiłki, a pan doktor rozcierał sobie stawy dłoni i uśmiechając się prostodusznie powiedział:

— To poetyckie, nic się nikomu nie może stać, a jeśli to robi pani, sprawia mi to nawet przyjemność...

Wzięłam elektrodę, ozonowy inhalator z rozpylaczem i zaproponowałam:

— Panie doktorze, najlepiej będzie, jak się pan położy na otomanie...

Pan doktor usiadł na kanapie, zaciągnęłam beżowe story i sypki półmrok i fioletowy krzaczek wyładowań elektrycznych tryskających z tej specjalnej elektrody na nerwy oświetlał łysinę pana doktora kładącego się z wolna na otomanie. Na watkę inhalatora ozonowego kapnęłam mieszaninę olejku eukaliptusowego i olejku mentolowego, wkręciłam w rurkę szklany dwójniak, który wkłada się do nosa, a potem zabrałam panu doktorowi pędzelek na nerwy i wsunęłam do katody ten inhalator ozonowy z rozpylaczem, i pokręciłam kółkiem, i pusta w środku rurka wypełniła się neonowym gazem, który przenikał przez watkę nasączoną olejkiem eukaliptusowym, uklęknęłam przed kanapą i przyrząd ten zbliżyłam lekko do dziurek w nosie pana doktora.

— To, panie doktorze, na pewno pana wyleczy, mój mąż stosuje to zawsze, ilekroć ma dostać katar, to naprawdę jest tak, jakby „bory szumią na urwiskach”; czuje pan ten zapach ozonu, żywicy? A ten błękitny wyładowujący się neonowy pożar, on sam już leczy, pańskim kolorem jest błękit, a błękit łagodzi wszelkie sprawy życiowe, uspokaja nerwy, zwalnia obieg... — mówiłam trzymając w jednej ręce ten piękny przyrząd wypełniony olejem inhalacyjnym, a prawą ręką naciskałam powoli gumową piłeczkę, która pompowała powietrze przechodzące przez ozonową i olejową komorę inhalatora... a pan doktor Gruntorad wszystko, co mówiłam, uszczęśliwiony powtarzał za mną, uśmiechał się błogo i usłyszałam, jak szczęknęły wahadłowe drzwi biura, potem klucz obrócił się w drzwiach i wszedł Francin, zsiniały i bładny, i krzyknął cichutko:

— A co wy tu robicie?!

Przestraszyłam się i ścisnęłam gumowy balonik, i pan doktor nie zdążył za mną powtórzyć: „bory szumią na urwiskach...”, i usiadł, i krzyknął, cała twarz mu się ściągnęła i nagle odmłodził, zerwał się i tak śmiesznie przebierał nóżkami, i namacał klamkę, i pobiegł do słodowni, i wpadł do słodowni, i po schodach zbiegł na dół, do stodoły, tam przebrnął przez kilka przyzm jęczmienia, mielca-rze — zdumieni — stali z łopatami, ale pan prezes oderwał się od Francina, który ukląkł w mokrym słodzie, i nie przestając jęczeć wbiegł po schodach na strych, przebiegł obok suchych przyzm siodu, ale ten ból w nosie gnał go aż na najwyższe piętro, wbiegł tam w suszący się na rusztach jęczmień, w sześćdziesięciostopniowy upał, i wybiegł z powrotem o piętro niżej, i mostkiem łączącym przebiegł do warzelni, kilkakrotnie okrążył kadzie i po schodkach zbiegł do komory piwnej, a Francin wciąż za nim, z komory piwnej pan doktor Gruntorad pobiegł aż do chłodni, tam gdzie chłodziło się młode piwo, otworzył żaluzje okien i wybiegł na dach chłodni, tam gdzie kwitły rojniki. Francin ukląkł w tych pięknych żółtych kwiatkach, ale pan doktor Gruntorad znowu zaczął jęczeć i po schodkach wspinał się z powrotem do warzelni, i przez wrota wybiegł na dziedziniec, a z dziedzińca ruszył ku chlewom...

— Dzień dobry, panie prezesie! Dzień dobry, panie kierowniku — pozdrawiali ich robotnicy.

Ale pan doktor nadal przebierał nóżkami przez sad owocowy, aż dobiegł znów do otwartych drzwi naszej kuchni i do pokoju, gdzie runął na kanapę i zawołał:

— Gdzieście kupili ten szmenc? Proszę pokazać! — I zaczął się przyglądać dokładnie ozonowemu inhalatorowi z rozpylaczem, po czym powąchał go i spytał: — A z czego pani, babo przeklęta, nałała tam tego oleju? Te „bory szumią na urwiskach”? — Włożył cwikier, podałam mu buteleczkę, a pan doktor, przeczytawszy etykietkę, zaczął krzyżeć: — O, babo jedna przeklęta, przecież pani zapomniała to rozrzedzić jeden do dziesięciu! Spaliła mi pani służówkę! Apsik! — Pan doktor Gruntorad kichnął, a kiedy zobaczył Francina, który klęknął i rozłożył ręce, i westchnął błagalnie: „Czy może mi pan to wybaczyć?”, pan prezes powiedział: — Proszę wstać, dobry człowieku, wolałbym być kierownikiem browaru niż jego prezesem... — Powiedziawszy to spojrzął na zegarek i podał mi rękę, po czym ucałował moją dłoń i powiedział: — Rączki całuję! — I wyszedł, pojawił się w słońcu na dziedzińcu, pozostawił po sobie zapach karbolu i lizolu, i eukaliptusa, z feudalną lekkością wspinał się na kozioł, jakby to wszystko, co się stało, dodało mu siły, i teraz to widziałam, teraz uwierzyłam, że wówczas musiało się stać tak, jak o tym słyszałam, ta historia, po której została tylko ta ocieniająca cały dom wierzbą płacząca. Pan doktor usiadł na koźle, stangret podał mu lejce, pan doktor zapalił papierosa w bursztynowej cygarnicze, nasunął na czoło miękki jasny kapelus, tak jak nie potrafił tego zrobić żaden inny mężczyzna, tak jakoś odmłodził z tymi lejcami, wyglądał tak, jakby właśnie przyjechał tym powozem z Wiednia, wyprostował się i wyjechał z

browaru powożąc ogierem, który miał przystrzyżony ogon i grzywę, gdy tymczasem stangret pana doktora rozwał się z tyłu na pluszowym siedzeniu landa, z przepaszającym uśmiechem człowieka, który nigdy nie pojmie, dlaczego jego pan jeździ na koźle z taką radością i rozkoszą, podczas gdy on, stangret, z poczuciem winy spoczywa na pluszowej kanapie... A Francin przemierzał pokój i dobierał się rękoma do mózgu.

Spojrzałam na zegarek, zbliżała się właśnie pora, kiedy Bodzio Czerwonka kończy swoją małą rundę, na pewno kupił już niezwykle korzystnie warzywa i z radości z tego kupna wpadł najpierw do Swobodów na placu, gdzie zamówił sobie szklanekę wermutu i pięć deka węgierskiego salami, potem trafił do „Grandu”, gdzie z pewnością kazał sobie podać mały gulaszyk i trzy kufle pilzneńskiego piwa, a następnie, aby zacząć z wolna kończyć tę swoją małą rundkę, zajrzał do drogerii u Mikola-szki i pograżony w przyjacielskiej rozmowie wypił trzy kieliszki koniaku; jednakże jest również możliwe, że pan Bodzio tak bardzo się cieszył, że zarobił na korzystnej transakcji kupna dwie korony, iż kontynuował tak zwaną dużą rundę, to znaczy, że wpadł jeszcze do hotelu „Na Książęcym” na czarną kawę z oryginalnym rumem jamai-ca, by zatrzymać się potem w specjalnym szynku firmy Louis Wantoch i wypić na stojąco kieliszek wiśniówki, który stanowił jakby radosną kropkę zamykającą korzystne kupno kalafiora i warzyw na supę.

Kiedy Francin, wcale nie udobruchany, poszedł do biura, dowlokłam się do przedsiönka, wyciągnęłam rower i pojechałam do miasta, pedałowalam lekko tą moją białą i bolącą nogą, później jednak z każdym naciśnięciem pedału jakby się ta moja kostka wzmacniała, oparłam rower o ścianę, a kiedy zajrzałam do oficyny, pan Bodzio drzemał na obrotowym fotelu, weszłam i usiadłam na wolnym krześle. Pan Bodzio z pewnością wykonał dużą rundę, bo pachniał pestkami wiśni, na pewno skończył w firmie Griotta.

— Panie Bodziu — odezwałam się.

— Co takiego? Ach, to łaskawa pani? — Wstał i tak się przestraszył, że wziął nożyczki i zaczął nimi szczebiotać.

A ja mówię:

— Bodziu, chciałabym, żeby mi pan obciął włosy. Pan Bodzio przestraszył się jeszcze bardziej.

— Co proszę? — wymamrotał.

— Bodziu — ja na to — chcę, żeby mi pan obciął włosy tak krótko, jak nosi Józefina Baker.

Bodzio zważył w dłoniach moje włosy i wytrzeszczył oczy.

— Ten relikwiarz dawnej Austrii? To: „Ja, Anna Czilag, urodzona w Karłowicach na Morawach”? Nigdy!

— I pan Bodzio niechętnie odrzucił nożyczki, i usiadł, i założył ręce, i patrzył przez okno, i robił mi na przekór.

— Panie Bodziu — perswadowałam — pan doktor Gruntorad przystrzygł ogierowi grzywę i ogon i zalecił mi tę nowoczesną fryzurę z powodu łupieżu.

— Ostrzyc takie włosy — upierał się pan Bodzio — to tak, jakbym po komunii świętej wypluł hostię przenajświętszą!

— Bodziu — trwałam przy swoim — podpiszę panu rewers...

— Chyba że tak... — zgodził się pan Bodzio i przyniósł przybory do pisania, a ja na arkusiku papieru napisałam, tak jak przed operacją, że dobrowolnie, znajdując się przy zdrowych zmysłach, - kazałam panu Bodziowi Czerwonce obciąć swoje włosy. Pan Bodzio, osuszywszy machaniem ten rewers, starannie wsunął go do portfela, strzepnął pelerynkę, zawiązał mi ją pod brodą i pochylił mi głowę, i wziął nożyczki, przez chwilę wahał się, była to chwila, jak kiedy w cyrku pod kopułą artysta wykonuje jakiś niebezpieczny numer i słychać tylko odgłos werbli... i pan Bodzio dwoma cięciami obciął pasma moich włosów. Ulżyło mi tak, że głowa opadła mi na piersi i poczułam na karku prąd powietrza. Pan Bodzio położył włosy na obrotowym fotelu, po czym wziął maszynkę i przystrzygł mi końce włosów na karku i koło uszu, a potem jego nożyczki zaczęły szczebiotać, pan Bodzio odchodził i patrzył na moją głowę jak tworzący rzeźbiarz i znów jego nożyczki zaczynały w skupieniu pracować dalej. Ilekroć chciałam podnieść głowę i ukradkiem przejrzeć się w lustrze,

wcisnął mi brodę między obojczyki i pracował dalej, widziałam, jak zaczyna się pocić, jego twarz lśniła i tchnął z niej zapach rumu jamaica i wiśniówki, i koniaku wraz z obłoczkiem niezbyt przyjemnej woni piwa, a potem namydlił pędzel i pilnował mnie, bo ilekroć usiłowałam spojrzeć na siebie, opuszczał mi głowę, ale widziałam, że na jego twarzy rozlewa się radość, taki pełen zachwytu uśmiech, że coś mu się udaje, a potem namydlił mi kark i starannie go wygolił, po czym zwilżył mi włosy i strzygł je brzytwą, a ja poczułam nagle gorzyc w ustach i serce zaczęło mi bić jak szalone, teraz, kiedy było już za późno, włosów już nie można było przypiąć z powrotem, ujrzałam Francina, jak wieczorem siedzi w biurze i stalówką redis numer trzy wpisuje inicjały w browarnianych księgach i wokół każdego inicjału rozwichrza łydźki i poruszające się w kształcie liry moje rude włosy, ujrzałam Francina, któremu Bodzio Czerwonka odcina ręce od moich włosów, któremu odcina pobły-skujący fioletowo neonowy grzebień, bo Francin nigdy już nie będzie w ciemnym pokoju czesać moich włosów i pieścić się nimi, moich włosów, w których zakochał się jeszcze za Austrii i dla których się ze mną ożenił... Zamknęłam oczy i przycisnęłam brodę do piersi, i przez chwilę przelykałam łzy, pan Bodzio dotknął mnie dwa razy, ale nie miałam siły podnieść oczu do lustra, pan Bodzio delikatnie ujął moją twarz i podniósł mi brodę, po czym odsunął się i okazał się na tyle taktowny, że się odwrócił... A tam w lustrze na obrotowym fotelu aż po szyję w białym prześcieradle siedział przystojny młody mężczyzna, ale z tak bezczelnym wyrazem twarzy, że sama na siebie podniosłam rękę. Pan Bodzio odwiązał mi pelerynkę i wyprostował się, a ja oparłam się o marmurowy stolik i patrzyłam na siebie, i nie mogłam wyjść ze zdumienia, bo pan Bodzio tym swoim strzyżeniem wydobyl ze mnie moją duszę, to uczesanie Józefiny Baker to byłam ja, to był mój portret, każdego tutaj ta moja fryzura musiała dźgnąć w twarz jak dyszel. A pan Bodzio dawno już wytrząsnął z pelerynki połamane i ścięte włosy i stwarzał mi miłosiernie warunki, abym mogła sama się z sobą pogodzić, abym się do siebie przyzwyczaiła. Usiadłam i ciągle nie spuszczałam z siebie wzroku. Pan Bodzio wziął okrągłe lustro i ustawił je za mną. W lustrze przede mną widziałam w owalnym lustrze swój kark, swoją chłopięcą szyję, dzięki której powróciłam do dziewczęcych lat, nie przestając ani na chwilę być kobietą, która jest jeszcze zdolna kusić samą siebie tą swoją szyją, tym karkiem ostrzyżonym w kształt serca. I w ogóle całe to moje nowe uczesanie sprawiało wrażenie, że to hełm, taka czapeczka z włosów, jaką miał Mefistofeles, kiedy zespół Marcina grał Fausta w naszym teatrze, że można je zdjąć zupełnie tak samo, jak przed chwilą pan doktor Grunto-rad zdjął gipsowy opatrunek z mojej kostki... I zerwałam się, a że byłam przyzwyczajona do tego, że te moje włosy ciągnęły mi głowę do tyłu, omal się nie przewróciłam i nie rozbiłam panu Bodziowi lustra... Zapłaciłam panu Bodziowi i powiedziałam mu, że ma u mnie skrzynkę piwa, a pan Bodzio uśmiechał się i zacierał ręce, bo i jemu przywrócił siły ten fryzjerski wyczyn.

— Bodziu — spytałam — czy sam pan to wymyślił?

A pan Bodzio znalazł w żurnalu fryzjerskim serię nowoczesnych fryzur: od grzywki Lyi de Putti aż po bubikopf Józefiny Baker... Wysłałam i poczułam wokół głowy wicher, choć było spokojnie. Wskoczyłam na rower, pan Bodzio wybiegł za mną i przyniósł w papierowej torebce te moje obcięte włosy, dał mi je do rąk, ważyły te moje włosy dobre dwa kilogramy, jakbym kupiła dwa kilogramowe węgorze.

— Bodziu — zwróciłam się do niego — niech mi pan to położy z tyłu na bagażniku, dobrze?

I pan Bodzio podniósł sprężynę bagażnika, i położył tam pasma włosów, a kiedy opuścił sprężynę bagażnika na włosy, chwyciłam się za głowę... A potem jechałam główną ulicą i patrzyłam na przechodniów, widziałam mistrza kominiarskiego pana de Giorgi, ale on mnie nie poznał, pojechałam na dworzec, patrzyłam na odjeżdżające pociągi, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi, ludzie uważali mnie za kogoś zupełnie innego, chociaż rower i moje ciało były takie same jak przed tymi postrzyżynami, naciskałam pedały roweru i wracałam główną ulicą, przed piekarnią pana Swobody stał powóz doktora Gruntorada, dopiero po południu znalazł pan doktor czas na pękaty dzbanek białej kawy i koszyczek bułek, który czekał na niego codziennie rano, kiedy będzie wracał od swoich położnic i wątrobowych kolek, i oto pan doktor wyszedł, stangret zeskoczył z kozła, gdzie drzemał trzymając lejce ogiera, pan doktor spojrzał na mnie, ukłoniłam się i uśmiechnęłam, ale pan doktor wahał się tylko chwilę, po czym zdecydowanie potrząsnął głową i usiadł na kozle, i odjechał, podczas gdy jego stangret rozwalał się na aksamitnym siedzeniu, przejechałam przez rynek koło świętej figury, wszyscy patrzyli na mnie, jakbym po raz pierwszy znalazła się w miasteczku... na

promenadzie przed firmą Katz, sklep z towarami łokciowymi i galanterią, spał buldog i stała grupka odzianych na czarno dam, spódnice miały aż do samej ziemi, przewodnicząca towarzystwa miłośników miasta oprowadzała chyba jakiegoś kompozytora, miał ogromny czarny kapelusz jak socjaldemokrata. Kiedyś i ja także szłam tak z tym towarzystwem miłośników miasta w spódnicach zmiatających kurz z bruku, w świątyni pańskiej pod wezwaniem Świętego Idziego stałyśmy przed zamkniętym bocznym wejściem i patrzyłyśmy na posadzkę, gdzie nie było już nic, tylko wspomnienie, że jeszcze przed stu laty znajdował się tam zaschły kożuch krwi z owej masakry w kościele, kiedy Szwedzi i Sasi wymordowali wszystkich mieszczan, którzy się tam przed nimi ukryli, potem stałyśmy przed jedyną naprawdę piękną i historycznie wartościową bramą baszty, ale nie patrzyłyśmy na tę bramę, tylko spoglądałyśmy uważnie pod łuki kamiennego mostu, gdzie w 1913 roku pogromca z cyrku Kludsky kąpał swoje słonie, które jeszcze teraz pluskają się w falach Łaby i nabrawszy wody w trąby niczym szlauchami opryskują sobie grzbiety, zupełnie tak samo jak na fotografii w muzeum miejskim, bo przewodnicząca towarzystwa miłośników miasta, pani Krasieńska, dzięki uskrzydłającej wyobraźni widzi z naszego miasteczka tylko to, czego w nim już zobaczyć nie można. Teraz członkinie towarzystwa miłośników miasta przeszły ze swoim wybitnym gościem pod arkadami i znalazły się przed gospodą „U Hawerdów”, i ze wzruszeniem patrzyły na cementowy bruk, gdzie odpoczywał ongiś Fryderyk Wielki. I aby pokazać rzecz najcenniejszą w naszym miasteczku, pani Krasieńska wzięła kompozytora pod rękę i zaprowadziła na środek placu, gdzie na ławeczce siedzieli dwaj emeryci z brodami opartymi na laseczkach, i pani przewodnicząca przedstawiała i dokładnie opisywała renesansową fontannę, która stała tam do 1840 roku, a później została zburzona, myliliby się jednak każdy, kto myślałby, tak jak ci dwaj siedzący emeryci, że towarzystwo miłośników miasta patrzy na nich. Skądże znowu! Przewodnicząca pokazywała wprawdzie i jeździła palcem przed twarzami emerytów, jednakże widziała to, co opisywała, te piękne ornamenty, girlandy z piaskowca i płaskorzeźbę przedstawiającą dwa aniołki, które znajdowały się na tej fontannie, a więc nadal są ozdobą naszego miasteczka. Ach, pani Krasieńska, ta, która kocha to wszystko, czego już nie ma, zakochałam się w niej, kiedy dowiedziałam się o tym jej romansie, przed trzydziestu laty zakochała się w tenorze Teatru Narodowego, panu Szicu, wyczekiwała po przedstawieniu przed wyjściem dla aktorów, a kiedy tenor wychodził i odrzucał niedopałek papierosa, wbijała tego peła na szpilkę i wkładała do srebrnej kasetki niczym bezcenną relikwię, a że była szwaczka, musiała cały dzień szyć, aby zarobić na orchideę, i cały tydzień musiała szyć, aby mogła kupić sobie fotel w łoży, z której zawsze rzucała pod nogi panu Szicowi tę jedną zarobioną w ciągu dnia orchideę, a kiedy rzuciła ten kwiat po raz dwudziesty, poczekala na tenora, zaczepiła go i powiedziała mu, że go kocha. A pan Szcic powiedział jej, że on jej nie kocha jedynie dlatego, że nie podoba mu się jej długi nos. I pani Krasieńska szyła przez cały rok, i za te pieniądze kazała sobie w Bernie na Morawach obciąć ten długi nos i przyszyć do chrząstki nosowej mięsień z własnego ramienia, mięsień, z którego później lekarze uformowali przepiękny grecki nosek. I oto pani Krasieńska znów stała przy wyjściu dla aktorów Teatru Narodowego, a że była piękna, mogła wdać się w rozmowę ze sławnym tenorem panem Szicem, jednakże tenor zaprosił ją na nocną przechadzkę i przyznał się jej, że już niemal cały rok szuka pięknej dziewczyny z drżącym długim noskiem, noskiem, w którym się zakochał i bez którego nie może żyć. I pani Krasieńska wyznała mu, że to ona jest tą dziewczyną z długim nosem, który jednak z powodu sławnego tenora kazała sobie odciąć i zastąpić nosem, na który on właśnie teraz patrzy. A pan Szcic podniósł ręce i krzyknął:

— Co pani zrobiła z tym pięknym nosem? Jak pani mogła!

I uciekł od niej.

I pani Krasieńska spojrzała na mnie obok renesansowej fontanny, i podniosła rękę, i krzyknęła:

— Co pani zrobiła z tymi pięknymi włosami? Jak pani mogła!

I wybitnemu gościowi naszego miasteczka pokazywała mnie, i ja wiedziałam już, że moje włosy należą do zabytków miasteczka. Nacisnęłam na pedały, ale trzy członkinie towarzystwa miłośników miasta wypożyczyły sobie przed hotelem „Na Książęcym” rowery i ruszyły za mną, z zazdrości tak naciskały na pedały, że bez trudu mnie wyprzedziły i krzyczały wskazując na mnie:

— Obcięła sobie włosy!

Kilku cyklistów, którzy mnie znali, w rozgoryczeniu pojechało za mną, oni także mnie wyprzedzili i pluli mi pod koła, a ja jechałam w tym ruchomym szpalerze cyklistów, wszyscy smagali mnie spojrzeniami pełnymi gniewu, ale to dodawało mi siły, założyłam ręce i jechałam bez trzymania, i do browaru wjechałam już sama, cykliści stali z rowerami pomiędzy nogami przed biurem z napisem:

GDZIE SIĘ PIWO WARZY,
TAM SIĘ DOBRZE DARZY!

I oto wybiegł Francin, a za nim trzy członkinie towarzystwa miłośników miasta, wskazujące mnie obu rękoma.

— Co się stało z twoimi włosami? — spytał Francin z piórem ze stalówką redis numer trzy w drżących palcach.

— Mam je tutaj — odpowiedziałam i oparłszy rower o ścianę, podniosłam sprężynę bagażnika i podałam mu te dwa ciężkie warkocze.

Francin włożył pióro za ucho i zważył w dłoni te moje martwe włosy, i położył je na ławeczce. A potem odpiął pompkę od ramy mojego roweru.

— Mam dętki wystarczająco napompowane — powiedziałam i ze znajomością rzeczy dotknęłam przedniej i tylnej opony.

Francin jednak odkręcił wężyk od pompki.

— Pompka jest także w porządku — dodałam nic nie rozumiejąc.

A Francin przyskoczył nagle do mnie, przegiął mnie przez kolano, podniósł mi spódnicę i zaczął mnie smagać po tyłku, a ja zdrętwiałam na myśl, czy aby włożyłam czystą bieliznę i czy się umyłam, i czy jestem dostatecznie odsłonięta. Francin smagał mnie wężykiem, cykliści z zadowoleniem kiwali głowami, a trzy członkinie towarzystwa miłośników miasta patrzyły na mnie, jakby zamówiły sobie tę satysfakcję.

W końcu Francin postawił mnie na ziemi, opuściłam spódnicę, Francin był piękny, nozdrza mu drżały zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy poskromił spłoszone konie.

— Tak, moja panno — powiedział. — Zaczniemy nowe życie!

I schylił się, i podniósł z ziemi pióro ze stalówką redis numer trzy, po czym przykręcił wężyk do pompki, a pompkę wcisnął w klipsy umocowane na ramie mojego roweru.

Wzięłam tę pompkę i pokazując ją cyklistom powiedziałam:

— Tę oto pompkę kupiłam w firmie Runkas przy ulicy Bolesławskiej.